Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 18. Stycznia 1880 r. Tom X.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 3.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 zł. 60 ct. półrocznie 8 zł. 80 ct. kwartalnie 4 zł. 40 ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f. We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

Zbytek światła.

Czas zamieścił tymi dniami artykuł, nadesłany mu jak powiada „od osoby *doskonale i głęboko* obeznanej ze stosunkami kraju,“ a poruszający sprawę tak zwanej hyperprodukcji inteligencji. I jakże nie miał organ krakowski wystawić autorowi artykułu tego tak świetnego świadectwa, skoro autor ze swej znów strony nazywa *Czas* „dziennikiem *kierującym* opinją publiczną“? Ale pomińmy tę wzajemną admirację, jako okoliczność zupełnie uboczną, a poczyńmy z naszej strony uwagi w przedmiocie samym, do których to uwag jesteśmy obowiązani, chociaż do „kierownictwa“ opinią publiczną pretensji nie mamy. Wszak sam autor artykułu wzywa do dyskusji w tym przedmiocie.

Otóż przedewszystkiem musimy zaprzeczyć, jakoby u nas istniała „chorobliwa produkcja inteligencji“ — jak autor artykułu za posłem Henrykiem Wodzickim powtarza. Ktokolwiek bez optymistycznych złudzeń rozważy stosunki nasze — powtarzać musi jako codzienną modlitwę: światła! więcej światła! Potrzeba go więcej tak co do siły jego, jak i co do rozszerzenia na całe społeczeństwo. Potrzeba podniesienia i znacznego jeszcze podniesienia poziomu inteligencji klas wykształconych — potrzeba rzucenia promieni oświaty pomiędzy lud do niedawna zupełnie zaniedbany, a obecnie zbyt skąpo jeszcze nią darzony. Nie wstydźmy się wyznać sami przed sobą, że wszelkie znamiona, po których się rozpoznaje stopień inteligencji społeczeństwa jako całości, dowodzą u nas wielkich, bardzo wielkich jeszcze braków. „Produkcja inteligencji“, która nigdy i nigdzie nie może być „zbyteczną“ — u nas jeszcze o wiele mniej na taką zasługiwałaby nazwę.

Ale autor artykułu rzecz tę bierze z innego stanowiska. Twierdzi on, że wielka ilość stypendjów dla uczniów szkół średnich ściąga do gimnazjów bardzo wiele takiej młodzieży, któraby się garnęła do innych zawodów, gdyby tych stypendjów nie było, i że skutkiem tego jest wielu takich, którzy wyszedłszy ze szkół „nie znajdują odpowiedniego oczekiwanemu zajęcia.“ Pozornie wydawałoby się to słusznem — bo istotnie widzimy w kraju dosyć młodych ludzi, którzy ukończywszy szkoły, biedzą się ze znalezieniem sobie zajęcia i utrzymania. Ale przypatrzmy się tylko bliżej tym stosunkom. Jest faktem statystycznie stwierdzonym, że w stosunku do ogółu ludności, w innych prowincjach jest *więcej* uczniów szkół średnich, aniżeli u nas, nawet jeżeli uwzględnimy podział na uczniów szkół gimnazjalnych a realnych i tylko pierwszych weźmiemy na uwagę. Mimo to w tamtych prowincjach nie skarżą się na „zbyteczną produkcję inteligencji“ t. j. młodzieży, która tylko w zawodzie urzędowym, sądowym, nauczycielskim, lekarskim lub duchownym może znaleść zajęcie. Dla czego? Oto z tej prostej przyczyny, że tamte prowincje były zawsze i są po dzień dzisiejszy lepiej niż nasza zaopatrzone co do organizacji władz i zakładów publicznych. Łatwo można cyframi udowodnić, że tam w stosunku do ludności większa niż u nas jest liczba sądów, tak kolegialnych jak powiatowych — większa liczba szkół wszelkiego rodzaju — że tam na jedno starostwo i mniejsza przestrzeń kraju wypada i mniejsza niż u nas liczba ludności — że publiczna służba sanitarna jest tam liczebnie silniejsza, skutkiem tego więcej młodzieży znajdzie tam pomieszczenie w zawodach, do których gimnazjalne studja przygotowują. W obec tego zachodzi więc pytanie, jak postęwać, ażeby złemu zaradzić? Czy przeszkadzać dalszemu wzrostowi liczby uczniów szkół średnich, jak chce autor artykułu — a tem samem przeszkadzać podnoszeniu poziomu ogólnej oświaty i inteligencji, zwiększaniu się zastępu ludzi wykształconych w kraju! Jest to droga zupełnie fałszywa — droga na którą nie może wejść kraj pragnący się prawdziwie podźwignąć. Ale starajmy się o to, aby potrzeby kraju pod względem władz i zakładów publicznych były w zupełności zaspokojone, ażeby liczba sądów odpowiadała rzeczywistej i dawno już udowodnionej potrzebie, ażeby się liczba szkół mnożyła, ażeby pod względem służby zdrowia kraj nasz nie był pokrzywdzonym w porównaniu z innemi prowincjami monarchji — a wtedy młodzież kończąca studja uniwersyteckie, znajdzie pomieszczenie i nie będzie narażoną na ciężkie zawody. Ten jest obowiązek obu reprezentacyj kraju, tak sejmu jak delegacji — a spełniając go, osiągną one cel podwójny, bo i organizacja kraju postąpi ku lepszemu, i młodzież znajdzie zajęcie, i przestaniemy się kompromitować frazesami o „zbytku inteligencji“, więc — światła!

Autor artykułu zamieszczonego w *Czasie*, zapomniał o jednej jeszcze, bardzo ważnej okoliczności. Bardzo wiele stypendjów — można śmiało powiedzieć, że więcej niż połowa ogólnej ich sumy — powstała w czasach, kiedy akt fundacyjny zawierający postanowienie, iż stypendjum może tylko syn tej ziemi otrzymać, nie byłby przez rząd zatwierdzonym. Użycie nazwy „Polak“ w takim akcie równało się wówczas zupełnemu chybieniu celu. Skutkiem tego zacni fundatorowie, chcąc się zapewnić, iż z ich fundacyj nie będą korzystać wrogie narodowi rodziny, zastrzegali, iż stypendja mają być udzielane tylko synom krajowych rodzin szlacheckich. Tymczasem stosunki przeobraziły się zupełnie — szkoły są zapełnione dziećmi nieszlacheckich rodzin, i zachodzi bardzo często ta kolizja, że uczeń ze wszech miar na to zasługujący, nie może dostać stypendjum, ponieważ nie jest szlacheckiego pochodzenia, a liczba stypendjów nieszlacheckich jest stosunkowo zbyt mała. Myli się więc autor twierdząc, że za wiele jest stypendjów: dla dzieci mieszczańskich i włościańskich jest ich zawsze jeszcze za mało — a dyrektorowie szkół i referenci spraw stypendyjnych w Wydziale krajowym niewątpliwie to potwierdzą. Wprawdzie autor szanowny wyraża życzenie, ażeby dzieci uboższych rodzin nie pchały się do zawodów „inteligentnych“ — ale

nam się zdaje, że ubliżylibyśmy czytelnikom naszym, gdybyśmy dowodzić chcieli, jak monstrualną jest tego rodzaju przedpotopowa zasada.

Gdyby jeszcze u nas prócz szkół gimnazjalnych i realnych były liczne innego rodzaju zakłady, z którychby wychodzili ludzie chociażby tylko średnio wykształceni! Gdzieindziej są liczne szkoły wydziałowe, które oprócz czterech klas szkół elementarnych (pospolitych) mają cztery wyższe klasy — są szkoły fachowe, z obszernym programem naukowym w kursie przygotowawczym — są liczne szkoły przemysłowe i handlowe, z których wychodzą średnio wykształceni ludzie. U nas — co pocznie np. rzemieślnik A! toż rzecz jasna iż idąc za tą radą, stawiamy zaporę zwiększaniem się liczby ludzi wykształconych nie tylko w zawodach uniwersyteckich, ale i we wszelkich innych. Moglibyśmy po nazwisku wymienić rzemieślników, którzy i do dobytku przyszli, i w życiu publicznem użyteczne zajęli stanowiska, *ponieważ* wznieśli się na wyższy poziom intelegencji ukończeniem szkoły średniej, a chociażby, tylko jej klas niższych. A czyż kraj nie zyska na tem, jeżeli naprzykład kupiec mniej zamożny może przy pomocy stypendjum przeprowadzić syna przez szkołę realną i *potem* wziąć go do praktyki handlowej? Czyż kraj nie zyska na tem, jeżeli syn cieśli, ukończywszy technikę zostanie budowniczym? jeżeli syn stolarza który tylko proste ławki wyrabia, ukończy wyższą szkołę realną, podniesie warstat ojcowski tak, że meble jego z wiedeńskiemi wytrzymają współzawodnictwo?

Nie narzekajmy więc na zbytek inteligencji, bo jej doprawdy w kraju za mało, bo jej za mało wśród *wszystkich* warstw społeczeństwa — i nie wołajmy, że dosyć już stypendjum, bo zbyt często dobry a biedny uczeń pomocy dostać nie może. Owszem powtarzajmy zawsze: światła! więcej światła! i przysparzajmy środków, aby go było więcej. A równocześnie niech się reprezentacje nasze starają o taką organizację kraju, i takie szkół pomnożenie, byśmy nie byli pokrzywdzeni w obec innych prowincyj — to i więcej młodzieży naszej znajdzie zajęcie. Niech pilnują, aby techniczna młodzież nasza na kolejach krajowych znalazła pomieszczenie, zamiast ustępować całym legionom obcych współzawodników. Niech kapitały nie leżą bezczynnie, ale zwrócą się do przemysłu, do fabryk, do handlu wreszcie — to młodzież szkół realnych i technicznych sowicie krajowi zwróci to, co w stypendjach jako pomoc naukową otrzymała. *Nie gasić światła, ale je mnożyć, i baczyć, abyśmy je dobrze zużytkowali!*

DZIWNE KARJERY

POWIEŚĆ

Jana Lama.

(Ciąg dalszy.)

Wilków miał osobne swoje obyczaje wyborcze, latami uświęcone. Jednym z nich było, że stronnictwa nie tworzyły komitetów w celu popierania tego lub owego kandydata, ale owszem wszyscy wyborcy razem uważali się w »zasadzie« jako jedno stronnictwo i wybierali bardzo liczny komitet, ten komitet wybierał ze swego łona podkomitet, a dopiero w łonie tego ostatniego objawiały się różnice zdań, które kończyły się zawsze zaproszeniem kilku lub kilkunastu mniej lub więcej znakomitych ludzi do kandydowania. Znakomitości te odbywały następnie wobec zgromadzeń wyborczych rodzaj popisu krasomówczego, przypominającego owe »kazania na próbę« w gminach reformowanych, które decydować mają o wyborze przyszłego pastora. Nadaremnie atoli wysilał się zazwyczaj ten i ów na jak najpopularniejszy program polityczny, nadaremnie obiecywał pokazać zęby Chaotom w Krachenburgu, zredukować wszelkie podatki do zera, i wznowić wiek jeżeli nie złoty, to przynajmniej srebrny, przez sierdziste ambasadowanie w Krachenburgu nad Plejtą — gdyby się był zobowiązał zjeść Krachenburg z cegłami i kamieniami i wypić potem Plejtę, na nicby mu się to nie przydało. Nadaremnie także byłby się powoływał na dawne swoje zasługi, nadaremnie przyjaciele jego wskazywaliby jego zdolności, charakter, dażności itp. jako zalety stawiające go wyżej od innych współzawodników — w komitecie bowiem już dawno utworzyła się była większość, która upatrzyła sobie z góry swojego kandydata, i tego ogłaszała »kandydatem narodowym.« Biada śmiałkowi, któryby nie uznał takiego senatus-consultum i ważył się odwoływać do plebiscytu na rzecz innego jakiego kandydata! Zobaczymy może w dalszym ciągu tego opowiadania, co go czekało.

Jakkolwiek może szanowny czytelnik znajduje się w tem samem położeniu co autor, tj. jakkolwiek może nie wie, do jakich bliższych i dalszych i dalszych celów politycznych i lokalnych dążyła partja dr. Ciemięgi, i jej przeciwnika, która świeżo pozyskała »talent i fundusze« dra. Mitręgi, to przynajmniej słowa powyższe wytłumaczą mu, dla czego jednej i drugiej partji tyle zależało na tem, ażeby na zgromadzeniu wyborców utrzymała się lista członków komitetu, przez nią ułożona.

Radbym przedstawić rzecz dramatycznie i opowiedzieć, w jakiej postawie i jakim krokiem zmierzali wieczorem owego pamiętnego dnia do sali wyborczej najznakomitsi koryfeusze obydwu stronnictw. W takim razie musiałbym atoli dopuścić się wierutnego zmyślenia, żadne żywe oko nie widziało jeszcze bowiem przywódzców agitacji politycznej w Wilkowie *dążących* na Kapitol — wyrastają oni tam w danej chwili, jakby z posadzki. Tak stało się i tym razem. Pięć minut przed uderzeniem godziny szóstej, na którą zwołane było zgromadzenie, utworzyły się, a raczej stworzyły się z niczego w sali wyborczej dwie grupy, z niedowierzaniem na siebie spoglądające. W jednej z nich można było widzieć naszych znajomych z dworku pp. Kluszczyńskich, tj. szanownego sekretarza, dra Mitręgę, obiedwie dyplomatyczne bródki à la Richelieu i kilka innych fizjonomij bądź tak poważnych, że nie zostawało w nich miejsca dla sprytu, bądź tak sprytnych, że nie zapowiadały żadnego innego przymiotu moralnego lub intelktualnego. Był tam także p. Kosturski, redaktor *Orędowniczki*, człowiek, jak mówiono, olbrzymiej pracy i ruchliwości — tak olbrzymiej pracy, iż nie miał nigdy czasu pozapinać wszystkich guzików u swego ubrania, i tak olbrzymiej ruchliwości, że udzielała się ona nawet jego włosom i brodzie, obiedwie te bowiem najpiękniejsze ozdoby wolnego i niezawisłego męża wyglądały u niego tak, jak gdyby król Eol przekupiony przez zwolenników Ciemięgi oddał je na pastwę nieustającą wszystkim swoim wiatrom. Po drugiej stronie sali wyrosła była z posadzki podobna grupa, złożona z samych Ciemięgowców i z redaktorów *Postępu*. W tej, uderzała oko widza najbardziej trzymająca się nieco na uboczu para, złożona z jednego bardzo długiego i jednego bardzo krótkiego polityka, która zdawała się knować coś niezwykłego i z tego powodu ściągała na siebie badawcze i pełne podejrzliwości spojrzenia członków przeciwnego obozu.

O szóstej, sala zaczęła się zapełniać. Środek zajęło około stu wyborców, między którymi odznaczała się ścisłą zwartością swoją falanga pedagogów i ojców rodzin, sprowadzona przez naszego przyjaciela, Stanisława Wołodeckiego, któremu p. sekretarz w przechodzie z niewymowną wdzięcznością uścisnął rękę. Około tych obywateli, uprawnionych do głosowania, uszykowało się w sali i na galerjach około tysiąc ciekawych, a gdy już powietrze było nad wszelki wyraz duszne, wstąpił p. Kluszczyński na podwyższenie, zadzwonił, i zagaił zgromadzenie krótką przemową, w której nadmienił że czyni to z polecenia grona obywateli, przejętych uczuciem, że w tak nader ważnej chwili należy naradzić się gruntownie nad wyborem nowego ambasadora do Krachenburga. Mowa ta nie sprawiła wielkiego wrażenia, może z tego powodu, iż od niepamiętnych czasów zwoływano kilka razy do roku obywateli Wilkowa i upewniano ich zawsze, że chwila jest nader ważną. Na wniosek p. Kosturskiego zgodziło się atoli zgromadzenie przez aklamację na przewodnictwo p. Kluszczyńskiego; przyjaciele *Orędowniczki* widzieli w tem bowiem tryumf swojego stronnictwa, a przyjaciele *Postępu* mieli może nadzieję, że pełniąc obowiązki przewodniczącego p. sekretarz nie będzie mógł szkodzić im swoją wymową i powagą swojego stanowiska w mieście. Nadzieja ta srodze ich zawiodła, przewodniczący rozpoczął bowiem natychmiast rzecz od dawna przygotowaną i niezmiernie długą, której tu nie będziemy powtarzali, bo nie różniła się ona co do treści swojej w niczem od alokucyj szanownego sekretarza do p. Wołodeckiego, które już mieliśmy sposobność słyszeć w pierwszym rozdziale tej powieści. Powiemy tylko, że p. Kluszczyński zakończył swoją mowę doniesieniem, że jest wniosek, ażeby szanowne zgromadzenie przystąpiło do wyboru komitetu przedwyborczego, złożonego z 300 członków — i zapytaniem, czy kto nie życzy sobie zabrać głosu. W odpowiedzi na to podniosło się z krzeseł kilku mowców,

najwyżej atoli podniosła się owa niezmiernie długa połowa nierównej pary *Postępowców*, na którą zwróciliśmy już podejrzenie ogólne, a ponieważ przewodniczący miał nieco krótki wzrok, więc jakoś nie dojrzał nikogo oprócz niej, i oświadczył z rezygnacją:

— P. Słomomłocki ma głos!

Jednem poruszeniem niepospolitych swoich nóg, p. Słomomłocki znalazł się na trybunie, co znaczy, iż sięgał głową niemal do sufitu — i rzekł:

— Moi panowie! Zanim przystąpimy do wyboru ambasadora, musimy się porozumieć co do instrukcji, jaką mu damy na drogę...

— Za pozwoleniem — ozwała się od drzwi sali figura w mundurowym fraku z niebieskim kołnierzem, w błyszczącej *pikielhaubie* i z mieczem u boku — wzywam p. przewodniczącego, ażeby przywołał mowcę do porządku, ponieważ według paragrafu 1479 ustawy z dnia 31 go lutego do liczby 83.521 nie wolno ambasadorom dawać na drogę nic, oprócz zaliczki na koszta podróży.

— Szanowny pan *ober*-dozorca rządowy ma słuszność, odparł p. Słomomłocki, i dziękuję mu za jego przestrogę, ponieważ zamiarem moim jest trzymać się ściśle drogi legalnej, która w istocie nie znosi instrukcji, ale jedynie zaliczkę na koszta podróży. Przystępując tedy do rzeczy, zwracam uwagę waszą, szanowni panowie, że mając, dzięki wolnomyślnym naszym ustawom i dobremu stosunkowi z królestwem Chaocji, szerokie pole do dyskusji otwarte przed sobą (huczne oklaski i *ober*-nadzorca w *pikelkaubie* z uszanowaniem kiwa głową), powinniśmy porozumieć się między sobą i uchwalić program, podług którego postępować mamy przy zbliżających się wyborach. (Niepokój między Mitręgowcami i wymiana telegraficznych znaków między pp. Kluszczyńskim i Kosturskim, na nieszczęście, obustronnie niezrozumiałych.) W tym celu, grono poważnych obywateli wygotowało projekt... (Mowca wyjmuje papier z kieszeni. Ogromne brawo na galerji, ogromna wrzawa w obozie *Orędowniczki*. P. Kosturski woła: To haniebny podstęp! *Pikelhauba* zbliża się ku trybunie.)... projekt, który, jeżeli szanowne zgromadzenie pozwoli, będę miał zaszczyt odczytać. (Czyta.)

»Zgromadzenie wyborców miasta Wilkowa wyraża przekonanie, że interesa Milicji i Landwerji są indentyczne z interesami Chaocji i Teremtecji.«

»Zgromadzenie wyborców miasta Wilkowa domaga się tedy, ażeby ambasada milicyjska w Krachenb...«

W tej chwili, wypadek nieprzewidziany, i niezwykły w życiu parlamentarnem przerwał dalszą lekturę programu milicyjsko-chaotycznego. Oto, z po za ramienia mowcy błysnął pozłacany szpic wszechpotężnej *pikelhauby*, a u kołnierza jego, z popod niebieskiego wyłogu u mundurowego fraka, wyłoniła się pięść odziana w białą łosiową rękawicę, podczas gdy druga taka sama pięść weszła w posiadanie mozolnie spisanego programu. W jednem okamgnieniu trybuna była opróżnioną, a w drugiem wszystko, tj. mowca, program, *pikelhauba* i frak z mieczem, znikło z sali.

Przez sześć miesięcy Wilków nie widział potem p. Słomomłockiego, ani p. Słomomłocki Wilkowa, oprócz kominów jego i to przez kraty...

Obrady tymczasem toczyły się dalej, uchwalono bowiem natychmiast, że program jest właściwie rzeczą niepotrzebną, a nawet szkodliwą *(ut figura docuit)* i że na razie chodzi tylko o wybór komitetu przedwyborczego. Wszyscy mowcy zgodzili się w zdaniu, że komitet ten powinien mieć trzystu członków, a wszyscy z tej ukrytej przyczyny, że tak czerwona lista, jak zielona, obejmowały 300 nazwisk. Niemałe też przerażenie i zamięszanie wywołał jakiś p. Filip Konopski, wyborba z przedmieścia, który oświadczył, że skoro, jak słusznie wykazał szanowny p. przewodniczący, półtra miljona Laputańczyków stoi nad Plejtą, to 300 członków komitetu nie wystarczą, ale potrzeba wybrać najmniej pięciuset. Jedna partja zaczęła podejrzywać drugą, że ta w ostatniej chwili ułożyła listę obejmującą 500 nazwisk, w skutek czego, gdy obie pierwotne listy zawierały w czterech piątych częściach jedne i te same nazwiska, większość w przyszłym komitecie musiała wypaść w myśl tej partji, którąby głosowała na 500 kandydatów. Dzięki temu obopólnemu podejrzeniu, nietylko zakrzyczano p. Konopskiego, ale nazajutrz miał on się z pyszna tak w *Postępie*, jak i w *Orędowniczce*. Wydarzył się jeszcze i ten epizod, że jakiś luźny zwolennik partji sokołowskiej wystąpił z oracją skierowaną przeciw zajmowaniu się polityką, w ogóle poczem oświadczył, że głosować będzie tylko na takiego ambasadora, który pójdzie ręka w rękę z rządem Chaocji i Teremtecji, i dodał, że najlepiej byłoby, gdyby Milicja i Landwerja przestały raz uważać się za coś odrębnego od krajów, z któremi je los tak szczęśliwie połączył. I ten byłby padł pod ciosami sprzymierzonych przeciw niemu stronnictw, ale na nieszczęście p. Kosturski w uniesieniu nazwał go Laputańczykiem i ciężka ta obelga sprawiła dywersję na jego korzyść, a nawet wywołała tu i owdzie szemranie, które nie pozostało później bez wpływu na rozwój politycznej i romantycznej historji, którą tu opowiadam.

Nakoniec przystąpiono do oddawania głosów. P. Kluszczyński mianował skrutatorów i czuwał z wysokości swojego podwyższenia nad tem, ażeby nie było nadużyć. Oczy jego błyszczały radością, zaledwie bowiem tu i owdzie zaplątała się jaka zielona kartka papieru między czerwone, które oddawano całemi stosami. Należy też przyznać, że nasz pan Stanisław zwijał się po sali, jak gdyby chodziło o jego własny wybór. Namawiał, perswadował, wydzierał nieraz przemocą prawie z rąk tego lub owego wyborcy zieloną listę, a wtykał mu czerwoną. P. Władysław Śmiechowski pomagał mu w tem rzetelnie. Skończyło się wreszcie oddawanie list, i zgromadzenie rozeszło się powoli, zostały tylko strony głównie interesowane, tj. naczelnicy stronnictw ze swoimi adjutantami, i skrutatorowie. Po niejakim czasie, ci ostatni oświadczyli, że głosowało 151 wyborców, i że oddano list zielonych 31, a czerwonych 120, a więc czerwona lista zwyciężyła. Oddano jeden jej egzemplarz p. Kluszczyńskiemu do własnoręcznego podpisu — Mitręgowcy klaskali w dłonie i wołali hura! — niektórzy rozbiegli się po mieście, ażeby *orbiet urbi* ogłosić swoje zwycięstwo; Ciemięgowcy milczeli. Podpisał przewodniczący, podpisał jeden sekretarz, umaczał pióro drugi. W tem okrzyk przerażenia rozległ się przeciągłem echem po wypróżnionej sali. Reszta zgromadzonych, już w kapeluszach na głowie, zbiegła się i skupiła około stolika.

— Co to jest, — wołał sekretarz z umaczanem piórem, trzymając je w powietrzu — a był to właściciel bródki á *la Richelieu* Nr. 2. i nazywał się Wtorkowski (bródka Nr. 1. była własnością p. Czwartkiewicza.) — Co to jest?!

— Co, co? — odezwało się kilkanaście głosów.

— Co! — zawołał Wtorkowski i zaczął czytać listę: — Abel Franciszek, Bandura Jakób, Bykowski Adam, Ceber Dyonizy, dr. Cygański Juljusz! Co robi dr. Cygański Juljusz na czerwonej liście?!

— A może to zielona? — zainterpelował ktoś z boku.

— Jużci nie cierpię na daltonizm, i widzę, że czerwona!

— Pokaż pan, pokaż! zawołał sekretarz, ledwie nie odchodząc od zmysłów. Wszystkie obecne głowy utworzyły olbrzymie winne grono nad nieszczęśliwą listą. Nie było wątpliwości — lista była czerwoną, ale nazwiska na niej były te same, co na zielonej; nazwiska popleczników dr. Ciemięgi!

— Potrzeba rozpocząć skrutynium na nowo! — wołali Mitręgowcy. Tu zachodzi fałsz, zdrada!

Daremne usłowania! Na stodwadzieścia list czerwonych, znaleziono zaledwie pięć takich, któreby nie były czerwonemi kopiami listy zielonej. Wprawdzie i na zielonej, z kurtoazji, znajdowały się nazwiska Kluszczyński, Kosturski, Wtorkowski i Czwartkiewicz — równie jak na pierwotnej czerwonej figurowało kilku stronników *Postępu*, ale prócz tych czterech, i prócz całego mnóstwa figur bezbarwnych, które dla wypełnienia liczby znajdowały się również na obydwu listach, nie było ani jednego zasadniczego zwolennika *Orędowniczki*. Dr. Ciemięga był górą, dr. Mitręga wił się u stóp jego jak Szatan u nóg Archanioła Michała. A co najfatalniejsza, pp. Kluszczyński i Wtorkowski mieli to stwierdzić własnoręcznemi podpisami i ogłosić jutro całemu miastu!

Półtoratysiąca wyborców i niewyborców, napełniających przedtem salę, nie byłoby wstanie zrobić takiego gwaru, jaki powstał między dwudziestukilku obecnymi. Ciemięgowcy trzymali się za boki od śmiechu, póki porwawszy zwycięzką listę z podpisami, nie wybiegli do swojej drukarni, ażeby ją dać wydrukować. Mitręgowcy

grozili im pięściami, i powtarzali w niebogłosy: Łotrostwo! Szelmostwo! Zdrada!

— Zdrada! — nie wołał ale ryczał p. Kosturski. — Zdrada, zdrada! I oto jest zdrajca! Oto jest! — To mówiąc, targał on nielitościwie za barki bladego śmiertelnie i wielce zmięszanego młodzieńca, którego łaskawi czytelnicy znają jako p. Stanisława Wołodeckiego.

— Jest, jest zdrajca! — powtarzał — a — oto dowód!

I tu, bez ceremonji, wyjął z zanadrza naszemu bohaterowi ośmdziesiąt egzemplarzy czerwonej listy — resztę owych 200, danych mu przez p. Kluszczyńskiego, nierozdaną dla braku większego kompletu wyborców. Wszystkie egzemplarze były sfałszowane, wszystkie ciemięgowskie, i na wszystkich, lojalniejsza od fałszerzy obawa zarządcy drukarni przed skutkami przestępstw prasowych, umieściła u spodu drobniutkim drukiem: »Z drukarni »Postępu« Wilkowskiego, pod zarządem M. Czernidłowskiego.«

Bohater nasz nie bronił się, nie protestował, nie mógł wymówić słowa. Jako mniej biegły w polityce, nie pojmował całej doniosłości zbrodni, której stał się sprawcą, sam nie wiedząc jakim sposobem. Dokoła niego srożyły się groźne oblicza Mitręgowców, ale nie trwożyły go wcale. Widział on tylko jedno oblicze ojca panny Natalii, a było to oblicze złowrogie, czerwone od gniewu, ciskające pioruny oczyma.

— Jak mogłeś pan — zawołał nakoniec sekretarz tym samym najpierw głosem, którym śp. Juliusz Cezar robił wyrzuty Brutusowi — jak mogłeś *(crescendo)* dopuścić się takiej *(fortissimo)* podłości!

— Ależ panie sekretarzu — jąkał pedagog, niby student przy egzaminie — to te same listy, które wziąłem od pana!

Śmiech serdeczny był odpowiedzią na to tłumaczenie. Sekretarz, drżąc od gniewu, wyjął z kieszeni parę list, które miał w zapasie, i wetknął je pod same oczy delinkwentowi. Niestety! Na każdej stało, drobno, ale wyraźnie: »Z drukarni »Orędowniczki Wilkowskiej«, pod zarządem B. Druckfehlera.« On by też właśnie, on, sekretarz Kluszczyński, śmiertelny wróg arystokracji, *Postępu*, Ciemięgi i Skirgiełły, kopał dołki pod stronnictwem, którego był głową, sercem, i... i wszystkiem! Podłość nad podłościami! Fałszować listę demokratyczną, i jeszcze rzucać kalumnię na siwą głowę tak zacnego i powszechnie szanowanego obywatela. Oburzenie wszystkich obecnych nie znało granic,

— Precz z moich oczu! — wołał prezes, silny tem poparciem — precz! Uczciwy człowiek nie poda ręki zdrajcy, zaprzedanemu arystokracji, Sokołowianom, Skirgielle, i... i Laputańczykom! Precz!

Łzy płynęły już od kilku minut po licach naszego bohatera, obrócił się i wyszedł, a na schodach rozszlochał się na dobre. Dziś w południe jeszcze, jadł konfitury różane, podane rączką panny Natalii, przed pół godziną jeszcze, wzrok sekretarza spoczywał na nim z wyrazem niby ojcowskiego zadowolenia, a teraz! Konfitury zamieniły się w piołun, błogosławieństwo w klątwę!

Dziwna rzecz! Nazajutrz *Postęp Wilkowski*, na czele swego numeru, zawierał, co następuje:

»Przewrotna agitacja pewnego pisma, zaprzedanego pewnemu ambitnemu magnatowi, i nielicznej klice jego zwolenników, okazała się bezsilną. Na wczorajszem zgromadzeniu wyborców, lista prawdziwie demokratyczna przeszła większością 146 głosów na 151 głosujących. Nawet więc najniżsi słudzy pana hrabiego nie wszyscy głosowali podług jego rozkazu, bo jak obliczyliśmy, było ich siedmiu w sali. Kandydatura dr. Ciemięgi jest zapewnioną.«

ROZDZIAŁ III.

(W którym p. Władysław Śmiechowski stara się udowodnić, że w pożyciu małżeńskiem, równie jak w polityce, nie wszystko jest konfiturą. Poczem, czytelnik będzie miał zaszczyt spojrzeć na chwilę w oblicze hr. Albina Skirgiełły.)

Kto był p. Władysław Śmiechowski? Czytelnik dowiedział się już, że był to znany w Wilkowie dziwak i przytem, obywatel dość wpływowy. Wpływ jego atoli był więcej ujemnej natury — nie wiem, czy »ujemnej« w pewnem znaczeniu, w jakiem słowa tego używają publicyści, którzy wynaleźli dla siebie jakiś ósmy sakramet namaszczenia atramentowego, ale ujemnej o tyle, że p. Śmiechowski mając w sobie ducha przekory, wolał używać swego wpływu tam, gdzie chodziło o to, ażeby się coś *nie* stało, niż tam, gdzie potrzeba było coś stworzyć, albo skleić, albo połatać. W przypinaniu łatek był biegłym jedynie tam, gdzie łatka mogła coś popsuć.

Zresztą, był to człowiek zamożny i miał dużo czasu, który poświęcał na figle. Pisywał ucinkowe wierszyki; czasem wydał swoim kosztem jaką zjadliwą satyrę, czasem napisał nie mniej zjadliwy artykuł do jakiego dziennika. Zwano go najczęściej »krotochwilnikiem narodowym«, a — stronami, jak powiada kalendarz stuletni — bano go się dość mocno.

Łaskawy czytelnik, który nie jest zakochanym w pannie Natalji, i który nadto wie, że p. Śmiechowski zaraz po pożegnaniu się z Wołodeckim popędził do drukarni *Postępu Wilkowskiego*, domyślił się już zapewne tego, co bohaterowi mojemu wcale nie przyszło do głowy — tj. że fabrykantem podrobionych list czerwonych był nie kto inny, jak tylko krotochwilnik narodowy. Zrobił on to w połowie z przekonania, w połowie dla żartu, i nie tylko nieczuł najmniejszych wyrzutów sumienia, ale owszem, pochlebiało mu uwielbienie, jakie figiel jego wywołał w redakcji *Postępu*. Po skrutynium, redaktorowie zaprosili go na kolację, i śmiano się tak serdecznie z Mitręgowców uciemiężonych i z dowcipu p. Władysława, że ten ostatni zafundował zaprzyjaźnionej prasie perjodycznej kilka butelek szampana.

Nazajutrz atoli, rozważywszy rzecz na chłodno, przypomniał sobie, że Stanisław jest jego przyjacielem, że mu nieraz bezinteresownie świadczył różne grzeczności, i było mu trochę przykro, gdy pomyślał, że jego żart przedwyborczy może młodemu pedagogowi stać się przyczyną niemałego zmartwienia. Postanowił przeto odwidzić go pod pozorem dowiedzenia się o postępach syna w szkole, i w tym celu, około jedenastej przed południem, puścił się w stronę, w której mieszkał Wołodecki. Nie potrzebował wychodzić na piątro, bo spotkał bohatera wczorajszej akcji przedwyborczej i »Dziwnych Karjer« na ulicy, pogrążonego w niekłamanej melancholji. Widok zaś człowieka smutnego podniecał zawsze p. Śmiechowskiego do wesołości, równie jak widok wesołości psuł mu humor. Miły krotochwilnik, nie prawdaż?

— A co, zawołał, czerwono, czy zielono?

Stanisław spojrzał na niego boleśnie i zastanowił się — w jednej chwili domyślił się całej prawdy. (C. d. n.)

KORESPONDENCJE.

Genewa d. 2. stycznia 1880 r.

(Książki na gwiazdkę. Powiastki dziecinne. Opowiadanie o swojem życiu — Andersena. Pyszne francuskie wydawnictwa. Egipt — Ebersu. Nowa powieść Chojeckiego na tle życia społeczeństwa egipskiego. Jego społeczne poglądy. Mikołaja Berga o polskiem powstaniu 1863 i 1864 r. Mowa Zygmunta Miłkowskiego.)

Wydawnicza czynność księgarzy paryskich ogromnie się powiększa przed Nowym Rokiem. Nie tylko sypią się jak z rogu obfitości książki, przeznaczone dla wieku dziecinnego, ale pojawiają się też liczne dzieła historyczne, geograficzne i przyrodnicze, zwykle opatrzone pięknemi ilustracjami. Są to wszystko książki na gwiazdkę: *livres d'étrennes.*

Z pomiędzy nowych dziecinnych powiastek wymieniają jako bardzo udatne: *La disparition du grand Krause* (zniknięcie wielkiego Krausego). Juljusza Girardin'a, *Aller et retour* (przejażdżki i powrót) — Julji Gaurand, *Daniel* — Joanny Marcel, *Un nid* (gniazdo) — pani de Witt-Guizot, dowcipne powiastki Ludwika Enault'a itd. Daudet napisał także powiastkę; *Robert Darnetal.* Co prawda jednak, pod piękną szatą ukrywa się treść pospolita i zanadto — zwłaszcza na umysł dziecinny — praktyczne zapatrywanie się na życie. *Powiastki Bożego Narodzenia* (Contes de Noël) Pawła Arèn'a są bardzo ładne i bardzo dowcipne, ale tego rodzaju co i Andersena, t. j. że starsi więcej lubują się niemi, aniżeli dzieci.

Andersen — jak wiadomo — umarł 1875 r. Wspaniały jego pogrzeb był iście narodowym obchodem. Obecnie wyszło w Berlinie w niemieckiem tłumaczeniu jego: *Opowiadanie o mojem życiu*, do którego tłumacz, Emil Jonas, dodał wiele ciekawych szczegółów z ostatnich lat życia tego znakomitego poety. Jan Chrystjan Andersen urodził się w 1805 r. na wyspie Fünen, w najdawniejszem duńskiem mieście Odensee. Był synem szewca. Lata dziecinne przepędzał samotnie ze swoim teatrzykiem i lalkami, które mu ojciec porobił. Czasami przy pomocy rozlepiającego afisze udawało mu się bywać w teatrze za kulisami. Wówczas na swoim teatrzyku

powtarzał to, co widział. Rozbudzona wyobraźnia pociągała go także i do twórczej pracy, a mając wielką łatwość wierszowania, układał sam małe komedyjki. Andersen, którego ojciec wcześnie odumarł, a matka utrzymywała się z prania bielizny i nie miała żadnego naukowego wykształcenia, był w zupełności samoukiem. Wierząc mocno w swoją przyszłość, udał się do Kopenhagi, gdzie walcząc z nędzą, przygotowywał się do uniwersytetu i w 1828 r. został wreszcie wpisany na listę uczących się. Około tego czasu zaczęły pojawiać się rozmaite jego utwory: poematy, sztuki teatralne, opowiadania itd. Powiastki dziecinne stosunkowo najpóźniej zaczął pisać.

Sława Andersena jako znakomitego pisarza datuje się od podróży jego do Niemiec w 1831 r. W ojczyźnie utwory jego nie miały powodzenia, krtytycy albo pozbywali je milczeniem, albo pogardliwie traktowali. Dopiero, kiedy Chamisso, z którym się zapoznał młody duński poeta, przetłumaczył niektóre jego utwory na język niemiecki, zaczęto zwracać uwagę na Andersena. Wziętość jego rosła w Szwecji, Anglji, Francji i dopiero wówczas tylko Danja przyznała w nim wielkiego poetę. Monarchowie nagradzali go orderami, a rząd duński mianował go honorowym radcą stanu.

Z pomiędzy poważnych książek, które pojawiły się na gwiazdkę, wypada przedewszystkiem wymienić tom piąty *Geografji* — Elizeusza Réclus'a, w którym znajduje się opis kongresowej Polski, Litwy i Rusi, i o którym napiszę później obszerniej; drugi tom *Historji Rzymian* — Wiktora Duruy; pyszne wydawnictwa Rothschilda z dziedziny nauk przyrodniczych, że wymienię mające ogromne powodzenie: *Causeries scientifiques* (z powodu wystawy powszechnej 1878 r.) przez Henryka de Parsille'a; sporo ilustrowanych podróży, jak npd. Mikołaja Przewalskiego: *Mongolie et Pays de Tangoutes*, kapitana Nares'a: *Podróż na morze Lodowate* (z angielskiego), Wiener'a — *Peru i Boliwija*, Alfreda Marche'a — *Trzy podróże do Afryki zachodniej* itd. Pojawił się także drugi i ostatni tom opisu Szwajcarji przez Juliusza Gourdault'a (La Suisse, études et voyages à travers les 22 cartons). Świetne to wydawnictwo znakomicie odtwarza malowniczą stronę Szwajcarji. Również wspaniałym jest opis Egiptu przez Jerzego Ebersa, przetłumaczony przez Maspero, profesora w Collège de Franse (L'Egypte, Alexandrie et le Caire — traduit de l'allemand par Georges Ebers par G. Maspero). Znakomity uczeń Lepsiusa i Brugscha, profesor starożytności egipskich, znany ze swoich artystycznych egipskich powieści, Ebers już samem nazwiskiem daje rękojmię wysokiej wartości dzieła. Jakoż powszechnie — rzec mozna — wzbudziło ono wielkie zajęcie. Dodać jeszcze należy wspaniałość wydawnictwa.

Ebers wtajemnicza w zamierzchłą przeszłość starożytnego Egiptu, Edmund Chojecki znajomi nas z dzisiejszym Egiptem w pięknej swojej powieści p. t. *Zéphyrin Cazavan en Egypte* par Charles Edmond (Paris, Calmann Lévy, 1880). U nas, gdzie publiczność tak chętnie czyta opowiadania Verne'a, nowa powieść Chojeckiego powinnaby mieć także wielkie powodzenie. Ma ona przytem tę ważną zaletę, że nie jest tak powierzchowna i płytka jak fantastyczne podróże. W powieści Chojeckiego nie opuszczamy świata rzeczywistego; jest on odmienny od tego, który w środku Europy widzimy, ale prawdziwy, i nie razi nas, cośmy zbilska widzieli rządy rosyjskie, tak mocno jak innych Europejczyków.

Treść powieści jest następująca. Młody Francuz, zasmucony nieszczęśliwym końcem rewolucji 1848 r., zabiera swój tłumok i ucieka z Europy do Egiptu. Tam w Aleksandrji poznaje przypadkowo młodą i piękną Arabkę, Safyajh, którą następnie odnajduje w Kairze, i której losy powieściopisarz połączył odtąd nierozerwalnie z historją młodego Francuza. Cazavan, przyjęty bardzo dobrze przez naczelnego dowódzcę wojsk egipskich, został w jego domu rezydentem i jako wszechwiedny Europejczyk musi mu fabrykować cegły, redagować pamiętniki i nastrajać fortepian. W liczbie rezydentów jenerała znajduje się także dawny Sain-simonita, Francuz, Gendel, który zmuzułmanił się i został Mahomedem-Effendy. U tego to ostatniego właśnie w domu Cazavon znajduje Safyjah, która tam się ukryła, będąc jako tanecznica z rozkazu wice-króla skazana na wygnanie. Francuz kocha się w pięknej Arabce, ale ona ma Araba, którego zamierza poślubić; więc rolę kochanka może zamienić na rolę opiekuna, a to tem bardziej, że młoda dziewczyna należy do fellahów, którzy są zwierzyną w oczach myśliwskiego rządu i jego wspólników, on zaś jako cudzoziemiec ma szczególne poważanie u władz krajowych. Przytem korzysta ze względów jenerała i oddaje młodą dziewczynę pod jego protekcję. Wprawdzie, jenerał powodował się nie samemi pobudkami wspaniałomyślności, umieszczając Safyjah w swoim haremie, lecz plany jego popsuła mu własna żona swoją zazdrością i przebiegłością. Arabka zdołała ujść cało z rąk jenerała i nawet pod jego opieką w towarzystwie Cazavan'a i Gendel'a dostała się do wioski przyszłego swego męża. Tam znowu musiano stoczyć walkę z poborcami podatkowymi, którzy chcieli wydrzeć od byłej tanecznicy wszystko, co dzięki swemu zawodowi nagromadziła była.

Powieść tę, żywo i barwnie opowiedzianą, rozsnuwa autor na tle życia egipskiego społeczeństwa we wszystkich jego szczegółach i warstwach. Francuz Cazavan, który występuje jako osoba opowiadająca, w spostrzeżeniach swoich zdradza głębszą społeczną myśl i okrasza ją czysto prawdziwie francuskim dowcipem. W krótkiem opisaniu rewolucji 1848 r. w całej Europie poznajemy sympatyczne pióro autora dziełka: „Rewolucjoniści i stronnictwa wsteczne w 1848 r.“ „Wypadki 1848 r. — powiada autor — objawiły się z nadzwyczajną szybkością. Monarchja lipcowa zaledwie próbowała stawić opór. Nie stoczono żadnej bitwy. Upadek raptowny tego co się przeżyło. Rewolucja, uprzystępniona dla masy, przynosiła możliwe korzyści. W godzinie tryumfu pozostał jedyny bohater dni lutowych, uzbrojony od nóg do głowy, bojownik młody, wspaniały, którego żaden cios dosięgnąć nie może i który obdarzony jest władzą działania sięgającą na odległe wieki w przyszłości. Na imie mu: *powszechne głosowanie*. Z pojawieniem się jego, musiano odrazu zmienić sprawdzan teoryj polityki i przenieść gdzieindziej oś politycząą.“ Właśnie jednak, tego nie zrozumiano we Francji, i dotąd jeszcze nie bardzo to rozumieją, zwłaszcza ci, co stoją u steru rządowego.

Do najciekawszych stronnic należą te, które autor poświęca fellahom. Lud to pracowity, ziemia urodzajna, a pomimo to straszna nędza.— Nic dziwnego — powiada Gendel. „Chłop egipski jest pszczołą dla władz krajowych z tą różnicą, że tej zostawiają część miodu na zimę, u chłopa zaś wolanoby spalić ul, aniżeliby miano mu oddać choć odrobinę z zebranego łupu.“

— Dla czego jednak, pomimo stasznej nędzy, fellahowie odznaczają się urodą i siłą? — zapytuje Mohammed-Effendy.

— Tłumaczy to — odpowiada Cazavan — *Struygle for life*, walka o byt, teorja doboru. Silni pozostają przy życiu, słabi giną! W ten sposób tworzy się wyborowa ludzkość.

„Mohamed-Effendy zdawał się być zmięszany, lecz po chwili namysłu rzekł:

„Wyśmienita doktryna! Przekonywa mnie o tem, czego już się domyśliwałem, że dziesięciu więcej znaczy aniżeli jeden. Tylko, jeżeli zasadnicze to prawo ma być niezawodnem, proszę mnie wytłumaczyć, dla czego to się dzieje, że miljon fellahów dobrze zbudowanych i silnych daje się obdzierać przez tysiąc wygłodzonych biurokratów i albańskich samochwałów.

„Z kolei wprawiło to mię w kłopot; ale chodziło mnie o to, ażeby za mną było ostatnie słowo.

„Zjawisko — powiedziałem — które przytaczasz, należy do dziedziny socjologji. Powtarza się ono w mnóstwie krajów, uważanych za cywilizowane. Nie osłabia jednak doktryny, lecz potwierdza ją teoretycznie. Zastowanie jej należy do przyszłości. Dążymy ku temu z przestankami wiekowemi — przyznaję — lecz następcy nasi dójdą wreszcie do celu.

— »*Inch' Allah!* Dałby to Bóg! — zawołał dawny saint-simonista. — Egipt nie będzie na to uskarżał się. Niech więc będzie: *Strugl!e for life*, i dziękuję za nauczenie mnie tych pierwszych angielskich wyrazów.“

Zwycięztwo nie zawsze należy do lepszej sprawy, ani też przegrana do gorszej. Ale przegrana jest zawsze pewnym dowodem, że walka nie była należycie prowadzoną. Zbadać i poznać popełnione błędy — jest już połową zwycięztwa na przyszłość. Kto się nie wyrzeka dalszej walki, powinien o tem pamiętać. Dziwnem więc jest dzisiejsze nasze społeczeństwo, które wszystkiem więcej interesuje się, aniżeli ostatnią swoją narodową walką. Dawniej miewaliśmy jeszcze epizodyczne opowiadania, dzisiaj i tych nienapotykamy. O uogólnieniu wypadków i krytycznem ich ocenieniu, mowy nawet nie ma.

Rosyjanie za to wyręczają nas poniekąd w tym względzie. Właśnie w grudniowej książce miesięcznika: *Russkaja Staryna* Mikołaj Berg ukończył opowiadanie o wypadkach 1863 i 1864 r. Rzecz jest więcej przedstawiona anegdotycznie, aniżeli historycznie. Zawiera jednak wiele ciekawych i ważnych szczegółów. Zwłaszcza jest tam kilka cennych dokumentów, które rzucają wiele światła na wewnętrzną historję powstania. Takiemi są listy Stefana Bobrowskiego do Zygmunta Podlewskiego, znakomicie uwydatniające szlachtę i energiczną postać pierwszego. Dość szczegółowe jest także przedstawienie wewnętrznej organizacji rządu narodowego.

Mikołaj Berg w swoim opowiadaniu stara się być bezstronnym i — trzeba przyznać — bywa nim często. Swego jednoimiennika, hr. Berga, byłego namiestnika i Murawjewa, przedstawia w dość prawdziwem i wcale niepochlebnem świetle. O powstańcach mówi często przychylnie, niektóre osobistości kreśli wcale sym-

patycznem piórem jak npd. Stefana Bobrowskiego.

W każdym razie Berg o wiele sprawiedliwiej od stańczyków ocenia wypadki i osoby 1863 r. Co prawda, stańczycy byli dotąd niemal jedynymi krytykami naszego ostatniego powstania. Ale cóż z tego, kiedy potępiali wszystko w czambuł i sam nawet zamiar powstania uważali za zbrodnię?! P. Zygmunt Miłkowski w mowie swojej, powiedzianej w Raperswylu podczas rocznicy listopadowego powstania, słusznie zauważał o historykach krakowskich ze szkoły stańczykowskiej, że „nie ciało to uczone, lecz korporacja prokuratorska, nad ułożeniem oskarżenia prawiąca.“ Mowa p. Miłkowskiego została wydrukowana. *B. L.*

NA MORZU.

Nowella z rosyjskiego

L. Samsonowa.

Parostatek już od dwóch godzin odbił był od lądu... Pomimo bliskiego zachodu słońca, upał był nieznośny. Zbierały się chmury, morze poczynało ciemnieć.

Z kajuty pierwszej klasy wyszła na pokład dama w czarnem ubraniu podróżnem. Gęsta woalka kryła jej lica. Dama się obejrzała, i siadłszy na uboczu, odrzuciła woalkę. Zdawała się mieć najwięcej lat 30. Była niepospolicie piękną. Raz ją zobaczywszy, pomimowoli człowiek się odwracał, by popatrzeć jeszcze, i z pewnością nie zapomniał już nigdy cudnych tych ócz czarnych, pełnych dobroci i myśli.

Twarz jej była uśmiechniętą; w oczach widoczne szczęście... Tak, czuła się bardzo, bardzo szczęśliwą. Jej córka była z nią razem — i już nigdy się nie rozłączą!...

Skończyły się nareszcie męki żywota. Piętnaście lat całych żyć w piekle udawań i nikczemności! Piętnaście lat całych oszukiwać ciągle, i ani na chwilę nie być tem, czem było się w istocie!... Piętnaście lat całych obdzierać ludzi, przyprowadzać do rozpaczy i majątkowej ruiny; doprowadzać do tego, że dla zadowolenia jej kaprysów, poświęcali majątek swych dzieci, a nieraz i honor.. ach, to okropne! Dzieci?... Ależ i ona ma córkę!

Dla tej to córki, dla tej to swej Zosi, rzuciła się była na tę drogę piekielną. Dziecię jej umierało z głodu i zimna... Czyż jest matka na świecie, którąby się zawahała ocalić dziecię od głodowej śmierci za jakąbądź cenę?

A co wycierpiała przez jeden rok pożycia z mężem, o tem i mówić nie warto! Dość, że w rok jakoś po ślubie, męża jej zabito butelką w łeb w jakiejś burdzie pijackiej. Chwałaż tobie Panie! — zawołaćby można, ale ona tego nie rzekła. Pochowawszy męża, została kompletnie bez grosza, sama jedna na świecie, z drobną dzieciną u piersi. Wkrótce zawitała nędza; rzeczy jedna po drugiej znikały z nadzwyczajną szybkością; nadeszła zima, Zosia zachorowała na piersi, a tu nie ma ani dać co ciepłego dziecku, ani samej wyjść o czem, nawet po lekarstwo! Nie miały nawet łóżka; sypiały na kufrze. Rozścieli bywało spodnice na kufrze, i śpią.. Zgnębiona do ostatka, zdecydowała się zostać aktorką w jakiejś koczującej trupie prowincjonalnej. Wnet poczęto polować na nią. Koleżanki pospieszyły oczernić, publiczność rada plotkom, i jakiś cymbał dowcipny rzucił na scenę bukiet z ujęciem w dziegciu zmaczanem. Podniosła bukiet w najlepszej wierze, nie wiedząc nawet, że bywają podobne bukiety. Lecz poczuwszy coś lepkiego, gdy zobaczyła, że to dziegieć, nagle przypomniała komu to chłopi mażą wrota dziegciem, zrozumiała wszystko i bez zmysłów padła. Miano ją za ladaco, wydarto ostatni kęs chleba, wyrzucono z mieszkania, a tu mrozy najtęższe. Teraz dopiero wybieraj! — albo śmierć z cnotą, albo hańbę z życiem. A z dzieckiem, co będzie?.. Wzięła 50 rubli od pewnego oficera, całowała się z nim — i oszukała. Siedziała po ciemku w izdebce nie opalonej z dzieciną na kolanach, oddech przytaiwszy — wtem okno z brzękiem poleciało w kawałki, do izdebki poczęto rzucać śniegiem, i strasznie hałasować i łajać... To oficer ze swymi kolegami mścił się w ten sposób.

Naprózna walka — i zdecydowała się nareszcie nie walczyć. Natychmiast gospodyni domu z najmilszą uprzejmością ofiarowała jej domino i bilet na maskaradę. Przyjęła i postanowiła mścić się nad ludzmi.

Zachodząc od płaczu, rozstała się z dzieweczką swoją. Niewinne, czyste dziecię, nie powinno było patrzeć na życie matki. Prowincja była jej za ciasną, i wkrótce na horyzoncie petersburskiego pół-świata, wzeszła nowa gwiazda niezrównanego blasku... Córkę odesłała do Moskwy. Odwiedzała ją co roku — kilka razy na rok. Krótkie te chwile widzenia się z dzieckiem, były jedynem szczęściem i jedynem wytchnieniem dla nieszczęśliwej, zmęczonej hańbą i wyrzutami sumienia... Patrząc na swoją Zosię, tak ślicznie podrastającą, zdawało się jej, iż się sama odradza w nieskalanej czystości.

Zaledwie dziewczynka wyrosła i ukończyła nauki w jednej z *najlepszych* pensji dla panien, matka wnet kupiła willę w południowym Krymie, zerwala z przeszłością i znikła. Znikła tak, że w stolicy najbliżsi nawet znajomi nie wiedzieli co się z nią stało.

Teraz jechała za granicę z córką. Chciała jak najdalej uciec od ojczyzny. Ach jak będzie szczęśliwą, gdy nareszcie będzie mogła śmielej odetchnąć pomiędzy obcymi, a Zosia zawsze już przy niej zostanie! Któż za granicą zdoła zakłócić jej szczęście, okupione tak okropną ceną?... „Nikt — bo mię nikt nie zna i znać tam nie będzie, ucieknę jak najdalej!...“

— O droga ty moja, o me życie jedyne! Zobaczysz jak ci będzie tam dobrze... — nieraz szeptały macierzyńskie usta, w duchu dodając: „tak, ty musisz być i będziesz szczęśliwą, ty *nigdy, nigdy* się nie dowiesz!...“

Czyjaś ręka dotknęła jej ramienia. Oglądnęła się — przed nią stała córka, drżąca, zmieniona... — matka zbladła jak chusta.

Poczuła raptem, że stało się coś okropnego, coś nieubłaganego... Nie, *to* być nie może! Ona *tego* nie chce; ona do *tego* nie dopuści nigdy, przenigdy!... — a tymczasem już mówiło jej coś w duszy, że to nieubłagane, okropne, już się stało!...

Lica córki nachyliły się bardzo blisko; bliżej — jeszcze bliżej:

— Czy to.. czy to prawda — poczęła dziewczyna głosem przytłumionym, jakby ją coś w gardle dusiło — czy to prawda co mówiono tam... na dole, w salonie pod pomostem?..

Matka, jak liść zadrżała.

— Tam pewien pan powiedział, że wy matko, że wy... Prawda?

Nadeszła kara za dawne!...

Kobieta żachnęła się jak obłąkana, w trwodze śmiertelnej.

— Mów mamo, czemu milczysz... no, mów; czy prawda?

Złamana i nieprzytomna, pochyliwszy głowę jak pod miecz katowski, wymówiła cicho, ale to tak cicho jak zamierające tchnienie powiewu — prawda!...

— O moje ty dziecko najdroższe, wysłuchaj!... i złożyła dłonie jak do modlitwy.

Córka zmierzyła ją tylko lodowatem okiem, i odeszła.

Chciała powstać i biedz za nią, lecz sił nie miała. Chwyciła się tylko za pierś, jakby ją coś tam zabolało i bezprzytomnie szeptała za odchodzącą córką: ach, jakaż ona piękna, jakaż ona piękna!...

Dziewczyna zeszła z podwyższenia i stanęła na pokładzie około lewego kożucha. *)

„Co ona o mnie myśli, co ona myśli?... Że ja, jej matka, oplwana i odrzucona przez ludzi, że ja... O, drogie ty dziecko moje, ileż ty cierpić musisz!...“

Wyraz niewysłowionej boleści czynił ją jeszcze piękniejszą. Ale oblicze córki, acz podobne do matczynego, było bardzo brzydkie. Tchórzliwie spoglądała do góry, pełna obawy, że matka za nią pójdzie.. Kto tylko koło niej przechodził, wywoływał drżenie. W każdym zdawało się jej widzieć tę, za niecne pieniądze której była wychowaną. Bezmyślnie patrzała na spód okrętu, gdzie się piekli palacze, gdzie się wznosiły, to na dół opuszczały z matematyczną dokładnością lśniące oliwą ramiona tłoków maszyny. Patrzała jak się kolejno wznoszą i opadają, ale ich nie widziała. Zalatywało ją straszne gorąco, ale go nie czuła. Począł deszcz padać — ona wciąż stała na miejscu. Nie czuła obrzydliwego swędu od smarowidła gorącego, od którego w innym razie zarazby bolu głowy dostała. Nie widziała ruszających się u dołu rąk, nóg, głów i zasmolonych koszul, przesiąkłych sadzą, oliwą i potem; nie słyszała łomotu, trzasku i stuku okropnego maszyny.

Było to prześliczne naczynie, do którego *szkoła* przelała całą mądrość swoją. Wszystko tam było zmierzone i zważone, wszystko „obrachowane“; nic nie było tajnego, jak nic tajnego w tych mechanicznych ruchach tłoków, walców i kół różnych, na które teraz patrzała. Przyzwyczajona wszystko mierzyć na miarę konwencjonalną raz ustanowionej normy światowej, widziała w matce teraz tylko jedno, a mianowicie: skalane życie i hańbę. Czyż była w stanie, w nieszczęsnej, złamanej życiem kobiecie widzieć matkę pełną miłości i poświęcenia dla dziecka swojego przez całe lat piętnaście?... I to jakich lat piętnaście?... Lat, w przeciągu których zmuszoną była bezustanku odgrywać komedję, być *niemą* przed ludźmi! Od wspomnienia tych lat matce pierś pękała, uszy wstydem płonęły; a u córki serce schło

*) Tak nazywają się zasłony z grubej blachy zwykle na czarno pomalowanej, przykrywające koła parostatku, aby nie bryzgały wodą na pokład.

—Pójdę, pójdę do niej... Zaprowadzę do kajuty... jeszcze się przeziębi. Opowiem jej całe me nieszczęście... Opowiem jak całemi dniami nie miałam nieraz ani kawałeczka chleba, ani szczypty chociażby proszku herbacianego, ażeby ją ogrzać i posilić czemkolwiek gorącem..., opowiem jej jak ludzie rwali mi serce po kawałku... Ona mi przebaczy... przecież ona taka dobra, taka piękna! Ach jak bywało dziękuje mi i całuje za najmniejszą zabaweczkę, jaką jej przywiozłam!.. Deszcz pada; jeszcze się przeziębić gotowa...

Wstała i poszła do córki.

— Proszę mię zostawić! — oprysklíwie krzyknęła córka, odwróciła się i poszła do kajuty.

— Nie, to tylko tak w pierwszej chwili, —mówiła matka sama do siebie. — Ona się wróci i spojrzy; zaraz się ogładnie... Poszła!... No, ale przyszle służącę po mnie, zaraz przyszle służącę aby mnie zawołać. Zaczekam sobie tutaj u bortu... Zaraz przyszle...

Pasażerowie schronili się do kajut. Napół naga i napół głodna klasa trzecia zbiła się na pomoście, jak stado owiec przed burzą, pod liche płótno rozwieszone od deszczu. Błyskawica z trzaskiem rozdarła chmury jak noc czarne, grzmot z hukiem przeleciał po sklepieniach niebios.

— Chłodno jest; może pani pozwoli mój pled? — zbliżył się zastępca kapitana.

— Nie, nie; nie potrzeba, dziękuję!...

Tuliła się do bortu skostniała, na pół martwa, oczy jej nie odrywały się od wejścia do kajut pierwszej klasy.

Pozasuwano okna kajut. Na masztach i na przedzie błysnęły latarnie kolorowe. Na wschodzie coraz częściej łyska, grzmot coraz bardziej głuszy stuk maszyny. Zmrok zapadał, naprzeciw gdzieś daleko migała morska latarnia różnokolorowemi ogniami.

— Człowiek obcy, a jednak się zlitował. Powiada: pani możesz się przeziębić. A ona!... Ach, czyż to być może, czyż to być może!... — i ruchem pełnym rozpaczy ukryła lica swe w dłoniach, i znów okropna myśl szarpnęła jej sercem:

— *Ktoś* ukradł duszę cudnej jej dzieweczce, jej jedynej radości!... Odtąd, ty już nie masz córki! *Ty*, nie matka *Ty*, gorzej jak ostatnia żebraczka z pod płota, *ty* nikczemnica!"

Dziecię zapłakało. To jej *maleńka* Zosieczka zapłakała... Nie, to inne zapłakało dziecię.

— Ja tobie popłaczę, ja tobie popłaczę — słychać w ciemności niewieści głos.

— Sadzaj Barbarkę tu... pod wojłok. Rozumiesz!... — zawołał jakiś głos ochrypły.

— Jak raz! Widzisz go jak komenderuje! Leż sobie.

— Milcz głupia!... Komenderuje.. Nie pokomenderujesz teraz! Już to czasy nastały!... No, mówię ci sadzaj Barbarkę i kwita!

— Zalał, panie Boże odpuść, pałkę, a teraz rób z nim co chcesz! Twoje dziecko, czy nie?

— O to już ciebie zapytać trzeba

— Ach ty bezwstydniku!—woła żona.

— O, już bezwstydniku! Widzisz ją!.. A wam babom chciałoby się tylko Europę wciąż naśladować. Nie — ty lepiejby z piłą pochodziła, a zobaczyłabyś, że i na grosz nie zalejesz pałki, z piłą pochodziwszy. Ot jak!

— Addio del passato dei sogni ridenti!" — zabeczał żałośnie głos jakiś cienki.

— Już to tak od malenkości, dziewico śliczna, chodzimy po świecie! Celki jak najmniejsze, świątynie Pańskie w skałach wykute, lampy wiecznie płonące, powietrze rajskie, ptaszki słodkospiewne... Święty, święty, święty Susie*) Chryste Panie, zmiłuj się nad nami!...

Błyskawica na chwilę oświeciła rozmawiających. Stojąca u bortu zobaczyła jakiegoś Włocha pod parasolem... czyjeś stopy rozzute, wystające z po wojłoku... palacza który po pas wylazł z ogniska, z piersią gołą, wciąż pokaszliwającego.. pielgrzymkę z nogami obwiniętemi w liście łopucha zamiast trzewików... kilka rąk machnęło kładąc znak krzyża świętego na piersiach — i znów wszystko zapadło w ciemności Tylko iskry sypały się z komina, i gasły z sykiem na deszczu.

Ktoś świsnął nagle:

— Ta ty panie Grek, nie ruszaj, leż spokojnie! — zagadał prędko młody głos niewieści.

— Te, te, te!... Ślicnotka t-y-y! — odpowiedział głos męski. Ty dzys, u mini dwa palto... tébi dam.

Barbarka znów zapłakała.

Rozległ się głos u steru:

— Baczność!

— Jest! — odpowiedziano od przodu, i okręt dalej rwał fale w kawałki.

Ona, przysłuchiwała się wszystkim tym głosom i mowom, i ani jednego dźwięku nie uroniła. Czuła, że pod czaszką kłębiło się jej coś nieuchwytnego, jakby kłębek porwanych i brudnych nici bez końca. Siliła się w myśli swej złapać pewien wątek, wyraz; pewne pojęcie, poczucie określone pewnego czynu, który czuła, że należy jej spełnić zaraz, niezwłocznie — a wtedy nie będzie już cierpień, nie będzie już nic...

Przyszłość *jej* zapewniona.. papiery *jej* są tu, w sakdewojażu, w kajucie, ma z sobą...

— Baczność!

— Jest!

W czarnej dali pokazał się jakiś snop ognisty.

— Parostatek naprzeciw nas! — zawołał głos komenderujący.

— Parostatek naprzeciw, spotykamy okręt, spotykamy okręt!.. — zawołało kilka głosów na pokładzie, i ten i ów powstał, ażeby zobaczyć.

Dumnie przeleciał mimo czarny potwór, jakby w łuskę błyszczącą okuty ogniami z okien kajutowych, a płomienista grzywa jak kometa ciągnęła się za nim z dymnika.

— No, siła! nie ma co mówić! — zawołał ktoś z trzeciej klasy patrząc za niknącym potworem, ziewnął i znów się powalił na twarde łoże.

Deszcz przestał padać; niebo było czarne jak smoła. Kiedy niekiedy łysnęło i słychać było grzmot daleki. Ucichły rozmowy, usnęli wszyscy; ten chrapiąc, ów przez sen gadając, i słychać już tylko stuk maszyny i łomot kół o fale.

— Ah, tutto, tutto fini. ortutto fini! Wszystko się kończy, wszystko ma swój koniec! — zaspiewał Włoch z smutnem westchnieniem.

Wyraz został znaleziony, ostatni *czyn* do spełnienia, jasno określony...

Rozległ się krzyk i wnet potem przenikliwy świst gwizdawki, poczem spokojny głos zastępcy kapitana skomenderował.

— Gotuj łódź!...

— Co takiego, co takiego?!.. Toniemy, toniemy?!... — zawołało w ciemnościach kilka głosów przebudzonych przeraźliwym świstem gwizdawki i gromkim głosem komendy.

— Kobieta wpadła w morze! — krzyknął głos od steru.

— Gdzie, jak, jaka?!... Stójcie!... kapitanie!... Ale gdzież kapitan?!...

Pasażerowie pierwszych dwóch klas poczęli spieszyć na pokład na wpół ubrani, a nareszcie zjawił się też i kapitan nieprzytomny, z kartami w ręku.

— Stój! — zakomenderował znów zastępca kapitana.

Statek drgnął, koła zawarczały pieniąc wodę pod sobą i na miejscu zamarły. Wypuszczana para z strasznym hałasem poczęła się wyrywać z komina. Bieganina, rwetes, każdy szukał swojego, zaglądano w oczy.

— Ratujcie ją, ratujcie! wołano ze stron różnych.

— To ty, więc nie ty!.. — wołali inni radośnie, tuląc drogie dłonie do piersi.

— Łódź na morze!

Przezorne jak zwykle „Towarzystwo dla ratowania tonących", zabrało jak raz wtedy, gdy starek miał odchodzić, wszystkie przyrządy ratunkowe pod pretekstem pomalowania ich na nowo. Zanim przeto spuszczono łódź na morze, upłynęło nie mało czasu.

— Papo, papeczko! piszczała panienka nerwowa, tarmosząc za surdut ojca generała, który za innymi wyleciał na pokład zobaczyć co się stało.

— Co to, co to?... Zanadto piłem, za nadto! Co to, co takiego?!... — wołał z pospiechem generał cały rozpięty, z kartami w jednem ręku, trąc drugą niespokojnie szpakowatą czupryne, krótko ostrzyżoną.

— Marie, Marie! — wstrzymywała córkę długa postać pani generałowej, zakrywając piersi mantylką. Finissez. Gdzie nasz Iwan. co się dzieje z Bylinką i Dżalmą?!...

— Czy młoda, czy młoda?... — rzucała się prędko na wszystkie strony z pytaniem jakaś pani w kapocie i papilotach.

— Łódź!

— Gotowa.

— Wiosłuj!

— Ciucie moje, ciucie!... — rzewnie becząc, latał po pokładzie pijany dieńszczyk generalski *) z dwoma mopsami, po jednym pod każdą z pach, potknął się i poleciał na starą w papilotach.

— Nu ty św...! — wrzasnęła stara, czepiając się kogoś, ażeby nie upaść.

Ukochane pieski pani generałowej zaskowyczały żałośnie.

— Czy widać ją?...

— Ale jakim to sposobem się stało?...

— Stała u samego bortu, widać, że się głowa zakręciła, i...

— Boże mój, Boże! — szlochał tkliwie jakiś chłopak na pokładzie. Wszyscy tylko patrzą, a ona tonie! Ratujcie, ratujcie!.. — i zalewając się łzami całował ręce, jakie się mu tylko nawinęły. Pocałował on też rękę młodej panienki... Służąca zaglądnęła jej w twarz.

— Gdzie pani matka? Czy widzicie gdzie ją tutaj?

— Czyżby...

*) «Susie» zamiast Isusie, t. j. Jezusie.

*) Służący dawany od rządu z pomiędzy żołnierzy nie frontowych, to co w Austrji forysic.

I nie dokończyła panienka. Ścisnęło się jej serce. To nie prawda, co mówi służąca; kłamie, to być nie może — i jednym rzutem głowy odrzuciła w tył śliczne swe blond włosy.

Spojrzała dokoła. Zdawało się jej, że oczy wszystkich są na nią zwrócone, że wszyscy o czemś pomiędzy sobą szeptali. To *coś* wciąż rosło i rosło, a nareszcie urosło w okropny huk grzmotu po niebie. Zabójczyni, zabójczyni!.. huczało koło niej dokoła, w górze i na dole.

Trzęsąc się jak w febrze, przytuliła się do balustrady. W pewnej od statku odległości migały ognie po morzu. Raptem błyskawica oświeciła postać młodego majtka, w całej męzkiej piękności, jak się śmiało rzucał w czarną otchłań bezdenną..

— Ach, jaki on piękny! — zawołała z cicha do siebie młoda panienka.

— Nie znajdą jej, nie znajdują! — wołano z stron różnych.

— O Boże mój! — modliła się kobieta z dzieckiem u piersi, na pace towarów siedząca. Trzy kroć przeklęty ten świat, ach biedna ona, biedna!... Cyt, Barbarko, cyt!

— I przyjm ją Panie do chwały Twej, i uspokój na łonie Susa!... — śpiewała psalm pogrzebowy pielgrzymka w łopuchach.

— Czego ty, szelmo, chowasz ją już, stara ty wiedźmo jakaś! Cyt Barbarko, cyt!... A ty co stoisz, poganinie! — wpadła znów na Tatarzyna. Rozbieraj się i do wody! Chałatami chciałby tylko kupczyć, ty morda kirgizka! Cyt Barbarko, cyt!

Tatarzyn zabełkotał coś po swojemu, machając rękami w stronę, gdzie ognie po morzu się snuły, i umilkł.

— Mitry! *) — mówił chłop w koszuli, rzemyku i płócienkach, do drugiego chłopa w kożuchu, Ha, Mitry! rozbieraj się; tobie lżej.

— Dla czego lżej? Ty pływasz jak sum, a czemu nie leziesz? To nie Suchożyłka nasza, co kiełbiki łapać. Dasz nura — i na wieki! Bez nas się obejdzie.

— Za dużo piłem, za dużo! — powtarzał generał z wytrzeszczonemi na wszystkie strony oczyma, i wciąż tarł czupryne.

— Ja, jakbym przeczuwała, że nie obejdzie się bez nieszczęścia, dowodziła stara pani w kapocie i papilotach, jakbym przeczuwała! Tylko cośmy mieli ruszyć z portu, aż tu patrzę na rogu ulicy jakiś powóz zaczepił o słup trotuarowy, przewrócił się i w kawałki!...

— Marie, mnie słabo. Jestem za nadto boulversée! odprowadź mię do kajuty.

— Wracają już, wracają! — Zawołano raptem.

— Co, dostali?...

— Gdzie ona, gdzie ona?...

— Proszę się usunąć; tylu na raz natłoczyło się na jedną stronę, że statek się przechyla, prosił grzecznie stróż pomostowy.

Nastąpiła głęboka cisza, łódź chyżo zbliżała się z powrotem.

O jak wszyscy oni są dobrzy; o jak poczciwy niepokój maluje się na twarzach wszystkich!

Łódź wróciła bez topielnicy.

Napróżno były wszystkie starania; napróżno dzielny majtek nie raz i nie dwa znikał w czarnej toni bezdennej! Na nic się nie zdały odwaga jego i siła.

Stuk zamykanych drzwi w borcie po wciągnięciu łodzi na miejsce, zdawał się być stukiem grudek rzucanych na wieko trumny przy zasypywaniu mogiły.

Parostatek ruszył dalej...

Z niemem uszanowaniem rozstąpili się wszyscy przed dziewczyną o złocistych splotach. Służąca zaprowadziła ją do kajuty, wyglądała jak martwa.

Poczęto sobie rozpowiadać bez końca: „wie pan, gdym płynął raz Wołgą“, albo „zupełnie taki sam zdarzył się wypadek, gdym“... i t. d. — i wyraz twarzy poczynał być powszedni i obojętny jak zwykle u wszystkich...

— O mamo, mamo ty moja droga, moja mamo droga!... łamała ręce panienka w malutkiej kajucie.

— Ach przestań, przestań panienko!... — zawołała służąca. Dusza jej tu, z nami... przestała cierpieć... Powiedz jej, Chrystus zmartwychwstał!...

Wyrazy te rzewnie i uroczyście odbrzmiały w sercu dziewczyny, zarzuciła ręce na szyję służącej i poczęła szlochać. .

„Ja z nią jestem“ — huczało Niebo grzmotem dalekim... Pocoś zabiła stworzenie moje? Czyś po to pobierała nauki, ażeby ją odepchnąć!... Czyż *ona* miała w czem wybierać? Czyż świat do jej wyboru zostawił był co innego?... A cóż wy jesteście; jakie *wasze* życie?... Dla czegoż ciągle zabijacie jeden drugiego?!“

— O wybacz, wybacz, wybacz ty moja mamo kochana, o wybacz!... — i padła na kolana.

— Módlcie się panienko, módlcie się!.. — chlipała służąca.

Złożyła dłonie do modlitwy...

Zdawało się w mdłem migotaniu lampy, że topielica tuż obok stała i była razem — ale odmłodzona, promieniejąca...

Zginęła matka — ale śmiercią swą zbawiła duszę dziecięcia, bo obudziła w niem serce.

*) Zamiast «Dymitrze».

DAUDET JAKO LIRYK.

Z chwilą, gdy powieść *Les rois en exil*, ukazała się na widok publiczny — Alfons Daudet znów świeci jako bohater dnia.

W rzeczach gustu nie ma sporu: dla tego też nie będziemy się zastanawiali nad granicą dzielącą pióra znakomitszych pisarzy: Zoli i Daudeta, których na równi wysoko stawiamy, jednakowo szanujemy i cenimy. Pierwszy z nich zadziwia nas jak niepospolite, anormalne zjawisko — drugi zaś, ten południowy trubadur coraz bardziej odczuwający niż budzący wrażenia, porywa nas łagodnem a tak realnem pociągnięciem swego pióra.

Dotąd znaliśmy jednak Daudeta tylko jako romansopisarza. Daudet-liryk jednakże jest u nas prawie zupełnie nieznanym, jakkolwiek nie mniej jest i w tym charakterze interesującym.

Dwóch jest braci Daudetów: Ernest i Alfons... Ernest, starszy, pierwszy przybył do Paryża. Ubogi mieszkał w *Quartier-Latin*, gdzie zaznajomił się dobrze z głodem. Alfons przybył wkrótce za nim, by wspólnie torować sobie drogę do życia. Ernest wierzył w talent swego brata, dzielił z nim uczciwie swój niedostatek, aż pewnego dnia znalazł się nakładca dla poezji młodszego Daudeta p. t. *Les Amoureuses*. Tomik się ukazuje, cesarzowa Eugenia czyta go, wspomina o nim w rozmowie z księciem de Morny, książę wzywa Alfonsa, a gdy młodzieniec o nieskończenie długich włosach zjawia się — mleczny brat Napoleona III-go proponuje mu posadę sekretarza. Alfons zwraca jego uwagę na to, że nie jest bonapartystą. „To pozostawiam zupełnie pańskiej woli, tylko każ pan sobie włosy ostrzydz“. Alfons przyjmuje korzystną pod względem materjalnym propozycję. Nie ma zresztą żadnej innej roboty, prócz czytania książek, z których najlepsze winien przedstawiać księciu. W końcu wysyła go książę w świat dla poznania ludzi. Minęło już wiele lat od owego czasu. Alfons Daudet ciągle jeszcze nosi niezwykle długie włosy; książę de Morny wszelako nie żyje, nie żyje cesarz i syn jego nie żyje; złamaną, bezdzietną wdową jest excesarzowa, którą zachwycały „Amoureuses“. Te „Amoureuses“ jednakże żyją i jeżeli w tych czasach proszą Coquelin'a starszego w wyższych salonach paryskich, aby cos zadeklamował, wybiera z zasady „Les prunes“, a wiersz ten należy właśnie do *Amoureuses*... Dobry Coquelin wie, co czyni, gdyż trudno by było temi „Prunes“ nie wywrzeć *żadnego* wrażenia...

Daudet jako liryk posiada naturalną grację, której autorstwa nie ma się nawet odwagi przypisywać mężczyźnie. Jest ona tak pełna wdzięku jak piękna kobieta, przedstawiająca nam się jakoby róża w pełnym rozkwicie, która mimo to zdoła zachować dziecięcą filuterję. Przypomina ona Alfreda de Musset, który w Pawle gorszego posiada brata, niż Daudet w Erneście. A nawet kto niechętnie wspomina o posępnych stronach życia, przeniesie go nad Musseta. Gdy bowiem ten śpiewa jako szczęśliwiec, Mussetowi z otwartych ran krew się sączy, gdy nastraja piosenki... Daudet przelewa wraz z swemi pieśniami radość w serce, Musset zaś wyszukuje zwrotki, aby najgłębszej boleści nadać formy i tony.

„Amoureuses“ mało więc są u nas znane, a nie nadają się do tłumaczenia zarówno jak poezje Musseta. Takiego szampana nie przelewa się z jednej flaszki do drugiej — trzeba go pić, dopóki musuje jeszcze, dopóki tryska złocistemi perłami... Któżby zechciał przetłumaczyć „Les prunes“? Ktoby potrafił? Poeta ze swą kuzynką, nie mając nic lepszego do roboty, ot tak sobie po prostu — „pour des prunes“ — jak brzmi zwrot francuski — uczyli się kochać wzajemnie. Te jednakże „śliwki“ przyjmują faktyczne udział w tej miłości. Nie do przetłomaczenia więc jest gra wyrazów w powtarzającej się zwrotce: „Nous nous aimames pour des prunes“... Kuzynka zrywa w owocowym ogrodzie śliwkę, odgryza z niej kawałek i podaje ją następnie kuzynowi. Jego zęby idą w ślady jej ząbków, i w tej chwili coś go tak gwałtownie porywa, że... że... no słowem, że już jest po uszy zakochany. Niby z uśmiechów dziecięcych i z srebrnych tonów dzwoneczków utkane są te wierszyki koronkowe, w których Daudet najpoważniej w świecie opowiada dzieje kęska śliwki:

«Elle en prend une, elle la mord,
Et, me l'offrant: Tiens!...» me dit-elle,
Mon pauvre coeur battait bien fort,
Elle en prend une, elle la mord.

Ses petites dents sur le bord
Avaient fait des points de dentelle...
Elle en prend une, elle la mord,
Et, me l'offrant: «Tiens!» me dit-elle.»

Czytając te wiersze, czujemy niemal bojaźń. aby nie zdmuchnąć tego pyłku kolorowego z błyszczących motylków, które jako „Amoureuses“ unoszą się w powietrzu, niby kwiatki latające. Prawie ich złowić niepodobna, a każdy jest zachwycającem „nic“.

Motylki te i kwiaty znają się na swym wdzięku. Są one zalotne, ale siłą owej kokieterji wobec której serca nie milkną...

I tak np. jedna z tych „Amoureuses“ nazywa się: „Les bottines“. Daudet przedstawia mały obrazek muzyczny, nie mający wszelako nic wspólnego z muzyką przyszłości, przedstawiający damski trzewik. W wierszach odtwarza on jego drażniące trzeszczenie i skrzypienie, a jakkolwiek Daudet mówi tylko o trzewikach, nie trzeba posiadać zbyt bujnej fantazji, aby na tej podstawie w duchu sobie reszty dośpiewać... Za motto wybrał sobie ustęp z „Wilhelma majstra“: „Ce bruit charmant des talons qui résument sur le parquet clic! clac! est le plus joli thème pur le rondeau...“ I zaraz przy pierwszych wierszach zdaje się czytelnikowi, jak gdyby słyszał Philinę lekko drepczącą. „Klik! klak!“ uderzają trzewiki.

Moitié chevreau, moitié satin,
Quand elles courent par la chambre...

A następnie poeta tak dalej opowiada: Klik! klak! trzeba wam widzieć, jak zgrabna podeszew się wznosi — klik! klak! — pod srebrnemi sprzączkami, nigdy nie próżnują, ciągle są w ruchu — klik! klak! i wyglądają tak mądrze jak dwie sprytne myszki — chód ich jest iście królewski, a elegancja Klitandra*) — klik! klak! klik! klak! — W zimie przy ogrzanym kominku, gdy chrust syczy i pryska — klik! klak! — pośmieją się one chętnie, odsłaniając brzegi nogi — klik klak! Są one lekkomyślne, ale nie złe — klik! klak! — a mimo to nie zwykły nic robić takiego, co inne trzewiki robią może — klik! klak! Nie tańczymy żadnej potajemnej polki klik! klak! — na balu maskowym w operze lub Cassino w Asnières klik! klak! — co najwyżej jeżeli pozwolimy sobie dwa razy na miesiąc z całą powagą — klik! klak! — rozruszać się w salonie sprzyjaźnionych kamaszów — klik! klak! a gdy się do syta natańczymy, odmawiamy modlitwę wieczorem, jak przystało — klik! klak! — dwom furtjankom klasztornym — klik! klak! A jeżeli mam wam powiedzieć (tu mówi znowu poeta), gdzie poznałem te cuda urocze — klik! klak! — każda plotkarska gęba może wam to opowiedzieć — klik! klak! — Tyle tylko wyznam otwarcie, iż często zdarza mi się — klik! klak! — że kiedy je widzę, łza mi się z oka wykrada — klik! klak! — Pamiętam o tem, że wszystko na świecie musi mieć koniec, nawet wierszyk wesoły — klik! klak! — i że może nadejść dzień, który mnie znajdzie smutnego i osamotnionego — klik! klak! — wówczas, jeżeli te ptaszyny kiedyś wyfruną — klik! klak! — A ja zdaleka smutny usłyszę, jak zadzwoni po schodach: klik! klak!...“

Wdzięk Daudeta posiada delikatny melancholijny odcień. Przypomina on nam smutek wesołej Paryżanki, która nad tem prawie łzy przelewa, że słońce znika za lasem w Fontainebleau... A kokieterja tylko w takim razie na drugi plan się cofa, gdy katolicyzmem zaprawiony odcień, właściwy Daudetowi, albo też piękny zmysł rodzinny francuzów na wierzch się wydostaje. Jakże rozrzewniająco Daudet opiewa dzieje nowonarodzonych dzieci, „les enfants d'un jour“, i żałośnie im nuci, że posiadają coś, czego braknie gwiazdom i kwiatom:

«Malheur à Vous!
Vous avez tous
Des ailes»...

Trzeba samemu mieć dziecię i stracić je, aby tak opłakiwać, że miało skrzydełka i uleciało... Obrazy zmieniają się prędko i różnorodnie... Tu słyszy poeta śpiew słowika na cmentarzu Montmartre... tam znowu opowiada jak miłość w postaci trębacza zakradła się do pułku — innym razem znowu w „Le roman du chaperon rouge“ zaleca bezmyślne używanie z przymieszką katolickiej pobożności, — trzeba nie zapominać, że cesarzowa Eugenia szalała za temi „Amoureuses“ — to znów przekłada on Andersena na najzalotniejszą francuszczyznę i opowiada w „Les aventuresd'un papillon êt d'une bete a bon Dieu“ puste przygody pewnego motyla i świętojańskiego robaczka; jak motyl smutnie życie kończy, a robaczek świętojański modli się nad jego grobem..

Tu i owdzie dostają i niedowiarki za swoje — Daudet istotnie do nich nie należy! jak np. w „Fanfaronnade“, w której ukazuje się sceptyk utrzymujący, że literalnie w nic nie wierzy, nawet w zdanie przez siebie w tej sprawie przed chwilą wypowiedziane. Miejscami poezje jego stają się ironiczne, przypominają w zakończeniach Heinego. André (la double conversion) chce dla swej kochanki zostać żydem. Sara dla kochanka swego — chrześcianką, więc André żąda, aby uciekli razem przed tą starzyzną teologiczną:

«Toute la terre est amoureuse,
Viens — t'en aimer quelque part,»

Miejsca takie należą do wyjątków. Płody jej są tonami nadającemi się, aby je student i jego studentka w letniej nocy spiewali w okolicy Panteonu lub Obserwatorjum, szczególniej gdy miesiąc ma się ku schyłkowi, a brak pieniędzy wyradza gwałtowne bóle psychiczne... Prawdziwy poeta jednakże — a Daudet jest nim rzeczywiście — nie jedną tylko strunę posiada w swej lirze. Na tysiące mil od Panteonu i Obserwatorjum każda matka chętnie za nim powtórzy to, co on tak czule drżącym głosem śpiewa do dzieci:

«Vous êtes à toute maison
Ce que la fleur est au gazon.
Ce qu'au ciel est l'etoile blanche,
Ce qu'un peu d'eau,
Est au roseau
Qui penche.»..

Są to uczucia, które niekoniecznie z Paryża muszą pochodzić, gdyż żyją w ogóle w sercach ludzkich — a serca ojczyzną jest świat cały, albo też żadnej nie posiada.

F. G. z Now.

*) Postać z Moliera.

ZE «ŚWISTKÓW SYLENA«.

LA CI DAREM LA MANO.

1.

Miała kochanka. Ten jéj rzekł: — Nad życie
Kocham ja ciebie jedynie!... —
Blady naonczas księżyc tkwił w błękicie,
I nucił słowik w gęstwinie.

2.

W rok przyszedł do niej i rzekł: — Miłość nasza
Śmieszne to tylko marzenie.
Tyś za uboga, i to mię przestrasza —
Więc się ja z drugą ożenię. —

3.

A ona tłumiąc łzy i serca bicie,
Gdy pożegnanie mu skinie,
Blady naonczas księżyc tkwił w błękicie,
I nucił słowik w gęstwinie.

4.

W rok znów jej ojciec poniósł znaczne straty,
Więc rzekła matka zbolała:
— Człek ci się trafia stary, lecz bogaty —
Trzeba nam, byś się sprzedała;

5.

Wszak to uczynisz dla nas, moje dziecię?
A ona rzekła: — Uczynię. —
Blady naonczas księżyc tkwił w błękicie,
I nucił słowik w gęstwinie.

6.

Jakoż w rok potem była wierną żoną
Spętaną w złote ogniwa.
Miała powozy — pałac — i mówiono:
— Ach jaka ona szczęśliwa!

7.

Lecz raz, po balu, w jej się piersi skrycie
Trawiąca słabość rozwinie...
Blady naonczas księżyc tkwił w błękicie
I nucił słowik w gęstwinie.

8.

W rok ją, wśród zbytku wstążek i równianek,
Chowano jak się należy,
Płakał mąż, ojciec, matka i kochanek,
A na mogile jéj świeżej

9.

Tańczyły potem — czy też uwierzycie —
Rusałki, wietrzne boginie!...
Blady naonczas księżyc tkwił w błękicie,
I nucił słowik w gęstwinie.

10.

Tam wśród — obłoczków srebrnych — czy widzicie?
Drżąca jej gwiazdka gdzieś płynie...
Blady jak wówczas księżyc tkwi w błękicie,
I nuci słowik w gęstwinie. —

Felicjan.

KRONIKA NAUKOWA

PRZEZ

B. ABAKANOWICZA.

(Hektograf. Nowe obserwatorjum astronomiczne. Przyrząd do badania trzęsień ziemi pp. Perry i Ayrton. Nowe działa angielskie.)

Od pewnego czasu rozpowszechnił się, szczególniej w świecie kupieckim, mały przyrząd do kopiowania, znany pod różnemi dziwacznemi grecko-łacińskiemi nazwiskami, z których najbardziej znaną jest nazwa *hektografu*. Aparat jest bardzo prostym. Jestto skrzyneczka płaska, blaszana, wielkości odpowiadającej formatowi danego papieru, która jest napełniona galaretowatą masą. Powierzchnia tej masy, uginającej się pod palcem, jest zupełnie gładką i płaską. Pisze się atramentem specjalnie ku temu zadaniu preparowanym, na zwykłym papierze, a gdy pismo wyschnie, kładzie się zapisany papier na masie hektografu tak, żeby pismo było z nią w bezpośredniem zetknięciu. Po paru minutach gdy się papier odejmie, to pismo całkiem prawie zostaje na galaretowej masie, która atrament w siebie wsiąknęła. Gdy się potem położy na to papier czysty, to się utrzymuje na nim dokładne odbicie tego, co było napisane i gdy atrament jest dobry, odbić takich można zrobić kilkadziesiąt. Za każdem przyłożeniem część atramentu przenosi się z masy na papier i utrzymuje się świeżą kopię, które naturalnie coraz są bladsze. Skład masy galaretowej jak i atrament, nie jest wcale tajemnicą. Masa składa się ze zwykłej gelatyny zmieszanej z gliceryną. To są główne składniki. Lecz oprócz tego dodaje się jeszcze nieco kwasu salicylowego, aby przeszkodzić rozwijaniu się istot organicznych, sprowadzających gnicie i trochę siarczanu barowego, który masie daje białą barwę.

Najlepszy atrament do tego celu, robi się rozpuszczając rosanilinę w na zimno nasyconym roztworze kwasu szczawiowego.

Jeżli weźmiemy gelatynę, (która jest niczem innem, jak tylko czystym klejem zwierzęcym) rozpuścimy ją w małej ilości wody, a potem dodamy na ciepło pewną ilość gliceryny, to cała masa skrzepnie przy oziębianu. Ponieważ gelatyna nie rozpuszcza się wcale w glicerynie, więc po ostygnięciu ten płyn ostatni jest rozpuszczonym w całej masie, zawartym w porach stwardniałej gelatyny, która w ten sposób przedstawia rodzaj gąbki nasiąkniętej gliceryną.

Otóż ta gliceryna z wielką łatwością rozpuszcza w sobie różne anilinowe atramenty i skoro na masę hektografu położy się zapisany takim atramentem arkusz papieru, to gliceryna w porach gąbki galaretowatej zawarta, rozpuszcza ten atrament i wsiąka go do najwyższej warstwy masy. Na tem się opiera cała zasada hektografu. Gdy potem na masie położy się czysty papier, to na nim odbija się atrament, rozpuszczony w glicerynie.

Gdy potrzebna ilość kopji jest już zdjętą, wtedy letnią wodą umywa się powierzchnia masy, która jest potem gotową do ponownego użytku.

* * *

Ze wszystkich nauk, największą liczbą mecenasów cieszy się astronomja. Ileż to na świecie znajduje się prywatnych obserwatorjów i ile razy przyczyniano się z prywatnej szkatuły do przedsiębrania wielkich wypraw astronomicznych, kosztownych spostrzeżeń!

Astronomja, jako nauka, najmniej może ma ze wszystkich nauk bezpośrednich praktycznych zastosowań, lecz w tem badaniu dalekich światów, w tem przenoszeniu się w nieskończone prawie odległości, w tych dziwnych tajemnicach, które na niebie się odkrywają, tkwi jakiś urok, który nieprzeparcie popycha ludzi w tym kierunku, w tych badaniach często bardzo niemających zastosowania w codziennem życiu, tkwi poezja, która do pracy i ofiarności zapala.

Teraz znowu mamy nowy dowód szczodrości nieznanej prawie dotychczas. Pan Bischofsheim, znany bankier paryski, który już niejednokrotnie popierał znacznemi sumami pieniężnemi prace astronomiczne, ofiarował obecnie na użytek kraju obserwatorjum całe, które ma być jego kosztem wzniesione koło Nicei. Grunta już są zakupione, a robią się projekta budowli.

P. Bischofsheim ofiarował na ten cel półtora miliona franków. Z tej sumy 900.000 wydanych zostanie na budynek i aparaty a reszta na dalsze utrzymanie obserwatorjum.

Instrumenta w tym nowym gmachu zebrane należeć będą do najlepszych, jakiemi obecnie nauka rozporządzać może. Będzie tam wielka luneta o 76ciu centymetrowem zwierciadle, jak owa sławna, która teraz istnieje w obserwatorjum paryskiem; wykonania jej podjęli się sławni bracia Henry.

Budowę gmachu wykona architekt opery paryskiej p. Garnier.

* * *

Pp. Parry i Ayrton obmyślili i zbudowali nowego rodzaju aparat, służący do badania trzęsień ziemi. Wiadomo że przy tych trzęsieniach, powstających w skutek podziemnych przewrotów, następują różnego rodzaju ruchy ziemi. Fale drgań raz postępują w jednym, to znowu w drugim kierunku. Otóż przyrząd pp. Perry i Ayrton służy do mierzenia tych ruchów i tych fal, a opartym on jest na następującej zasadzie: ciężka masa jakiegoś ciała, zawieszona jest na sprężynach wewnątrz pudełka, do którego ścian wcale się nie dotyka, pudełko zaś, przymocowane jest do ziemi. Ruch środka ciężkości tej ciężkiej masy reprodukuje dokładnie ruchy skrzynki, jeśli siła sprężyn ją podtrzymujących jest odpowiednią.

Przyrząd sam składa się z ołowianej kuli, ważącej około 200 kilogramów. Znajduje się ona wewnątrz skrzynki żelaznej i opiera się tam na jednej silnej pionowej sprężynie, a cztery poziome podtrzymują ją z boków, tak że jest ona zawieszoną w środku i swobodnie wszelkie ruchy wykonywać może.

Kombinacje drążków przymocowanych do kuli, przenoszą jej każdy najdrobniejszy ruch na kawałek papieru, który rozwija się za pomocą zegaru, a ołówki umocowane na końcu drążków, znaczą na tym papierze wszelkie zboczenie.

Jeśli się takich przyrządów ustawi wielką ilość, na znacznej powierzchni, i połączy drutem elektrycznym ich zegary, aby były zupełnie izochroniczne, to można będzie przy pomocy tych aparatów zdejmować dokładny obraz każdego wstrząśnienia ziemi, i wszelkich kierunków, w których te wstrząśnienia postępywały.

* * *

Rozmiary dział zaczynają już dochodzić do wielkości bajecznych. Rząd angielski zamówił u znanego Sira Armstronga cztery sztuki, z których każde miało ważyć 100,000 kilogramów! Otóż w roku ubiegłym działa te zostały oddane do użytku, a za każdą sztukę zapłacono po 400,000 franków.

Otwór działa wynosi 45 centymetrów u wylotu, przy tylcu jest on większym o 5 centymetrów.

Pocisk waży 911 kilogramów! Działo ma jedenaście metrów długości, a grubość jego ścian przy tylcu 737 milimetrów.

Nie masz pancerza okrętowego, któryby się oparł celnie wymierzonemu pociskowi z tego działa.

SPADEK 500 MILIONOWY

POWIEŚĆ

JULJUSZA VERNE'A

PRZEKŁAD

WINCENTY LIMANOWSKIEJ.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ III.

Kronika.

Przybywszy na czwarte posiedzenie kongresu Hygieny, doktor Sarrasin zauważał, że wszyscy koledzy przyjmują go z oznakami nadzwyczajnego szacunku. Dotychczas szlachetny lord Glandover, kawaler Podwiązki, a nominalny prezydent zgromadzenia, zaledwie raczył spostrzegać obecność doktora francuskiego.

Lord ten, była to wspaniała postać, której rola ograniczała się na otwieraniu i zamykaniu posiedzeń i na mechanicznem dawaniu głosu mówcom, których listę kładziono przed nim. Zwykle trzymał prawą rękę za zapiętym surdutem, — nie dlatego by kiedy spadł był z konia — ale dlatego jedynie, że widział kilka posągów z brązu, przedstawiających w takiej postawie mężów stanu.

Twarz blada i gładka, upstrzona czerwonemi plamami, peruka pretensjonalnie ułożona w wysoki czub ponad czołem, widocznie pustem, uzupełniały tę postać komicznie nadętą i niezmiernie sztywną. Lord Glandover poruszał się tylko całą figurą, jak gdyby był z drzewa lub kartonu. Oczy jego także zdawały się obracać w jamach swoich ruchem urywanym tylko, tak jak u lalki lub u manekina.

Podczas pierwszego przedstawienia, prezydent kongresu Hygieny oddał był doktorowi Sarrasin ukłon protekcjalny, któryby można tak wytłumaczyć:

„Dzień dobry, panie nic wielkiego!... To pan, co chcąc zapracować na swe małe życie, obrabiasz i opisujesz te maszynki?.. Muszę mieć prawdziwie bardzo dobry wzrok, jeżeli spostrzegam istotę na tak dalekim odemnie szczeblu towarzyskim stojącą!... Usiądź w cieniu Mojej Jasności, pozwalam na to.“

Tym razem lord Glandover powitał doktora najbardziej uprzejmym uśmiechem, przyczem posunął grzeczność swą do tego stopnia nawet, że wskazał mu próżne krzesło, stojące po prawej stronie jegо. Jednocześnie wszyscy członkowie kongresu powstali przed doktorem.

Dosyć zadziwiony tem wyjątkowo pochle-

bnem przyjęciem, i pomyślawszy sobie, że zapewne koledzy, po dłuższem zastanowieniu, uznali wynalazek jego ważniejszym, jak się im wydał na razie, doktor Sarrasin zajął wskazane sobie miejsce.

Ale wszystkie te złudzenia wynalazcy pierzchnęły, kiedy lord Glandover, zginając się we dwoje, tak, że gwałtowne skrzywienie kości pacierzowych groziło Jego Jaśnie Wielmożności, rzekł pochylając się do ucha doktora:

— Dowiaduję się, że jesteś pan właścicielem znacznej posiadłości? Powiedziano mi, że „wart jesteś“ pan dwadzieścia jeden milionów szterlingów?

Lord Glandover zdawał się być mocno zmartwiony, że tak lekko traktował dotychczas przedstawiciela tak okrągłej sumy. Cała jego postawa mówiła:

„Dlaczego nie uprzedziłeś nas pan o tem?... Na prawdę, to bardzo źle z pańskiej strony! Narażać ludzi na podobne omyłki!“

Doktor Sarrasin, któremu sumiennie zdawało się, że osoba jego ani jednym groszem nie „warta“ także więcej jak na poprzednich posiedzeniach, zapytywał siebie, jakim sposobem wiadomość o spadku mogła się już roznieść, kiedy doktor Ovidius z Berlina, jego sąsiad z prawej strony, rzekł do niego z uśmiechem fałszywym i płaskim:

— Jesteś pan tak potężny jak Rotszyld!... *Daily Telegraph* podaje wiadomość o tem!... Winszuję panu!...

I podał mu numer dziennika z datą tegoż rana. W kronice jego znajdował się ustęp, po stylu którego łatwo można było domyślić się autora.

„*Monstrualny spadek.* Znakomita wakująca sukcesja Begum Gokool odnalazła nareszcie prawnego swego dziedzica, za umiejętnem staraniem Mrs. Billows, Green i Sharp, solicitors, 94 Southampton row, London. Szczęśliwym właścicielem dwudziestu jednego miliona szterlingów, złożonych obecnie w banku angielskim, jest pewien doktor francuski, nazwiskiem Sarrasin, którego piękny memorjał, podany na kongresie Hygieny, oceniliśmy na tem miejscu przed trzema dniami. Ceną ogromnych trudów i przygód, które same tylko mogłyby już utworzyć prawdziwy romans, Mr. Sharp dowiódł z największą pewnością, że doktor Sarrasin jest jedynym żyjącym potomkiem Jana Jakóba Langévol, baroneta, drugiego małżonka Bégum Gokool, jak się zdaje, rodem z małego francuskiego miasteczka Bar-le-Duc. Dla wejścia w posiadanie, pozostają już tylko proste formalności do spełnienia. Prośba o to złożona już jest w sądzie kanclerskim. Ciekawy to zbieg okoliczności, mocą których skarby, gromadzone przez długi szereg rajów indyjskich, spadły na głowę uczonego francuskiego, wraz z tytułem angielskim. Fortuna mogła pokazać się mniej inteligentną; możemy sobie zatem powinszować, że tak znaczny kapitał dostaje się do rąk, które potrafią zrobić zeń dobry użytek.“

Doktor Sarrasin szczególną uczuł przykrość, dowiadując się, że nowina o spadku została rozgłoszoną. Nietylko bowiem, mając doświadczenie rzeczy ludzkich, przewidywał z tego powodu przykre natręctwo, ale nadto upokarzało go wielkie znaczenie, jakie nadawano temu spadkowi. Zdawało mu się, że wielka cyfra jego kapitału uczyniła jego własną osobę mniejszą i mniej znaczącą. Jego prace, jego zasługa osobista, — czuł głęboko — tonęły już w oceanie złota i srebra, nawet w oczach kolegów. Widzieli w nim już nie badacza niezmordowanego, nie inteligencję szeroką, wyższą, nie bystrego wynalazcę, ale po prostu pół miliarda. Gdyby był dzikim Hotentotem, jednym z najnikczemniejszych okazów ludzkości, nie zaś jednym z wyższych ich przedstawicieli, wartość jego byłaby ta sama. Lord Glandover dobrze powiedział, miał odtąd „wartość“ dwudziestu jednego miliona, ni mniej ni więcej.

Myśl ta wstręt w nim wzbudziła, i kongres, który z ciekawością przypatrywał się, jak też wygląda „właściciel pół miliarda“, ze zdziwieniem zauważał, że fizjonomia jego pokryła się pewnego rodzaju smutkiem.

Byłato jednak przemijająca słabość tylko. Natychmiast prawie wypogodził się; przypomniał sobie bowiem wielki cel, któremu postanowił poświęcić tę niespodzianą fortunę. Czekał zanim doktor Stevenson z Glasgowa dokończy czytać memorjał swój o *Wychowaniu młodych idjotów*, poczem prosił o głos.

Lord Glandover dał mu go natychmiast, nawet przed doktorem Ovidiusem. Dałby mu go, nawet gdyby cały kongres oparł się temu, gdyby wszyscy uczeni Europy wystąpili razem przeciwko temu dowodowi łaski! Brzmiało to wyraźnie w szczególnym głosie prezydenta.

— Panowie! — rzekł doktor Sarrasin — chciałem zaczekać jeszcze dni kilka, zanim zawiadomię was o dziwnym losie, który mię spotkał, i o szczęśliwych następstwach, jakie może to mieć dla nauki. Ale ponieważ wypadek rozgłosił się już, byłoby to zatem rzeczą nienaturalną może, gdybym go wam teraz nie przedstawił z prawdziwej jego strony... Tak panowie, prawdą jest, że znaczna suma, suma kilkuset milionów, złożona obecnie w banku angielskim, prawnie spada na mnie. Czyż potrzebuję mówić wam, że fortunę tę uważam za powierzoną sobie tylko na korzyść nauki!... *(Głębokie wrażenie.)* Nie do mnie z prawa należy ten kapitał, jest to własność ludzkości, postępu!... *(Rozmaite poruszenia. Wykrzykniki. Jednogłośne oklaski. Zelektryzowany temi słowami cały kongres powstaje.)* Nie przyklaskujcie mi panowie. Nie znam ani jednego uczonego, prawdziwie godnego nazwy tej, któryby na mojem miejscu nie zrobił tego samego. Może będą tacy, co pomyślą, że tak jak w wielu czynnościach ludzkich i tutaj więcej jest miłości własnej jak poświęcenia? *(Nie! Nie!)* Ale mniejsza o to, zresztą! Patrzmy tylko na skutki. Oświadczam więc stanowczo i bez żadnego zastrzeżenia, że owe pół miliarda, które przypadek składa w moje ręce, nie należy do mnie, ale do nauki! Czy chcecie być parlamentem, który ułoży budżet tej sumy?.. Nie dosyć ufam własnym mym siłom, bym chciał despotycznie rozporządzać nią. Was uczynię sędziami w tej sprawie, i sami wskażecie, jaki najlepszy użytek zrobić mamy z tego skarbu!... *(Hurra! Głębokie wzburzenie. Ogólny szał.)*

Kongres cały powstał. Niektórzy członkowie, uniesieni zapałem, powłazili na stoły. Profesor Turnbull z Glasgowa bliski jest apopleksji. Doktor Cicogna z Neapolu stracił oddech. Lord Glandover tylko zachował spokój pełen godności i pogody, jak przystało mężowi takiego stanowiska. Jest on wreszcie przekonanym, że doktor Sarrasin przyjemnie żartuje tylko i że nie ma wcale zamiaru wykonania tak szalonego projektu.

— Jeżeli jednak pozwolicie mi panowie — przemówił dalej mówca, kiedy się uciszono trochę — jeżeli pozwolicie mi podać plan, który łatwo będzie potem rozwinąć i wydoskonalić, to powiem panom co mam na myśli.

Tutaj kongres, odzyskawszy nareszcie krew zimną, słucha z religijną uwagą.

— Panowie! pomiędzy przyczynami chorób, nędzy i śmierci, dręczących nas, jest jedna, mająca, jak sądzę, bardzo wielkie znaczenie: chcę mówić o opłakanym stanie warunków hygienicznych, w jakich większa cześć ludzi znajduje się. Tłoczą się oni do miast i zajmują w nich mieszkania, często pozbawione powietrza i światła, tych dwóch niezbędnych czynników życia. To nagromadzenie się ludności staje się niekiedy prawdziwem ogniskiem zarazy. Ci, których śmierć tam ominie, ponoszą szkodę na zdrowiu; produkcyjna siła ich zmniejsza się i takim sposobem społeczeństwo traci wielką sumę pracy, któraby mogła była cenny przynieść użytek. Dlaczegoż nie mielibyśmy spróbować najlepszego sposobu przekonania... przykładu? Dlaczego nie mielibyśmy, połączywszy wszystkie siły wyobraźni naszej, nakreślić plan wzorowego miasta, trzymając się przytem ściśle naukowych danych?... *(Tak! tak! To prawda!)* Dlaczego potem nie mielibyśmy poświęcić kapitału, który posiadamy, na budowę takiego miasta, które ukazalibyśmy światu jako praktyczną naukę... *(Tak! tak! — grzmoty oklasków.)*

Członkowie kongresu, jak gdyby dotknięci zaraźliwym szałem, ściskają się wzajemnie za ręce, rzucają się do doktora Sarrasin'a, podnoszą go i w tryumfie obnoszą dokoła sali.

— Panowie! — mówi znowu doktor, odzyskawszy miejsce swoje — to miasto, które każdy z nas widzi już oczami wyobraźni swej, to miasto zdrowia i dobrobytu, może za kilka miesięcy stać się rzeczywistością; jeżeliby to nastąpiło, wezwalibyśmy wówczas wszystkie ludy, by przyszły oglądać je; we wszystkich językach rozpowszechnilibyśmy plan jego i opis, i zaprosilibyśmy do niego wszystkie uczciwe rodziny, które ubóstwo i brak pracy wygnały z przeludnionych krajów. Te także rodziny — nie dziwcie się, że myślę o tem — które zabór cudzoziemski zmusił do okrutnej konieczności tułactwa, znalazłyby u nas możność zużytkowania sił swoich i zastosowania zdolności umysłowych; takim sposobem przyniosłyby one nam z sobą owe bogactwa moralne, tysiące razy cenniejsze od kopalni złota i diamentów. Mielibyśmy w mieście naszem obszerne kolegia, gdzie młodzież wychowana, podług zasad rozsądku, zasad mogących jedynie rozwijać i równoważyć wszystkie władze moralne, fizyczne i umysłowe, przygotowałaby dla ludzkości silne pokolenia na przyszłość!

Niepodobna opisać szalonego wrzasku, jaki powstał po tych słowach. Oklaski, hura, wykrzykniki, trwały więcej kwadransa...

Zaledwie doktor Sarrasin usiadł, kiedy lord Glandover, znowu pochylając się ku niemu, szepnął mu na ucho, mrugając oczyma:

„Dobra spekulacja!.. Rachujesz pan na dochód z akcyzy, hę?... Interes pewny, byleby go dobrze poprowadzono i dobranemi imionami zatytułowano!... Wszyscy słabi i przychodzący do zdrowia, zechcą mieszkać tam!... Spodziewam

*

się, że zachowasz pan dla mnie dobry kawałek gruntu, nieprawdaż?

Biedny doktor, dotknięty tem uporczywem przypisywaniem mu pobudek chciwości, chciał nareszcie ostro odpowiedzieć Jaśnie Wielmożnemu, kiedy usłyszał, że wiceprezydent żąda wotum podziękowania przez aklamację dla autora filantropijnego planu, wniesionego właśnie na zgromadzenie.

— Będzie to — mówił wiceprezydent — wiecznym honorem dla kongresu Brighton, że tak szczytna myśl powstała w jego łonie. Do powzięcia jej trzeba było najwyższej inteligencji, połączonej z największem sercem i z niesłychaną hojnością... A jednakże teraz, kiedy myśl powstała, wydaje się niemal dziwnem, że dotychczas nie wprowadzozo już jej w czyn! Ileż milionów, po szalonemu wysypanych na wojnę, ileż kapitałów, użytych na śmieszne spekulacje, można było poświęcić na podobną próbę!

Kończąc swe słowa, mówca żądał, by jako hołd oddany założycielowi nowego miasta uczczono je nazwą „Sarrasina“.

Wniosek jego przyjęto natychmiast przez aklamację, ale musiano go cofnąć na żądanie samego doktora Sarrasin.

— Nie! — rzekł tenże — moje imię nie ma z tem żadnego związku. Nie powinniśmy również przystrajać przyszłe miasto w jedną z owych nazw, które pod pozorem greckiego lub łacińskiego pochodzenia, nadają rzeczy lub istocie, co je nosi, cechę pedanterji. Będzie to miasto Dobrobytu, ale ja proszę, by imię jego było imieniem ojczyzny mojej, byśmy je nazwali Francja-Miasto!

Francja - Miasto było już założone na słowach; dzięki protokołowi, który miał zamknąć posiedzenie, miało też istnieć na papierze. Niezwłocznie przystąpiono do dyskusji nad głównymi artykułami projektu.

Pozostawmy kongres przy tem praktycznem zajęciu, tak różniącem się od czynności zwykle zaprzątających podobne zgromadzenia i podążmy krok w krok za losem kroniki, ogłoszonej przez *Daily Telegraph*.

Od 29. października wieczór, kronika ta, dosłownie powtórzona przez dzienniki angielskie, zaczęła się pokazywać we wszystkich prowincjach Zjednoczonego - królestwa.

Pojawiła się też w *Gazecie Hull* i zajmowała górną część drugiej stronnicy w jednym z numerów tego skromnego dzienniczka, który *Mary Quaen*, trzymasztowiec obładowany węglem, przywiózł 1. listopada do Rotterdamu.

Natychmiast wycięta zręcznemi nożyczkami głównego redaktora i jedynego sekretarza dziennika *Echo néerlandais*, i przetłumaczona na język Cnyp'a i Potter'a, kronika przybyła 2. listopada na skrzydłach pary do *Mémorial de Breme*. Tam przebrana tylko w nowe odzienie, ale w gruncie nie zmieniona wcale, ukazała się w niemieckim języku. Musimy jednak zaznaczyć przytem, że teutoński dziennikarz, zatytułowawszy tłumaczenie wyrazami: *Eine übergrosse Erbschaft*, nie bał się użyć ręcznego wybiegu i, nadużywając łatwowierności czytelników swoich, dodał w nawiasie: *Specjalna korespondencja z Brigthon*.

Bądź co bądź, anegdota prawem aneksji zamieniona w niemiecką, przybyła do redakcji okazałej *Gazette du Nord*, która umieściła ją w drugiej kolumnie stronnicy trzeciej, opuściwszy tylko tytuł, nadto szarlatański, dla tak poważnego organu.

I tak przeszedłszy wszystkie koleje, kronika dostała się nareszcie 3. listopada wieczorem w ogromne ręce grubego saskiego kamerdynera a z nim wstąpiła do gabinetu — salonu — jadalni pana profesora Szultze w uniwersytecie Jena.

Osobistość ta, pomimo wysokiego stanowiska swego, nie miała w sobie, przynajmniej na pierwszy rzut oka, nic nadzwyczajnego. Był to mężczyzna lat czterdziestu pięciu lub sześciu, dosyć wielkiego wzrostu; szerokie ramiona jego wskazywały silną budowę; czoło było łyse, a trochę włosów, które pozostały na tyle głowy i na skroniach, przypominały barwę lniano-blond. Oczy jego były niebieskie, niebiesko-blade, jedne z tych, co to nigdy nie zdradzają myśli. Żadne światełko nie błyska z nich, a jednak spojrzenie ich niepokoi tego, na którego padnie. Z poza ust wązkich, których głównem zajęciem musiało być rachowanie słów, jakie przez nie przejść mogły, ukazywał się podwójny szereg straszliwych zębów, z tych co to nigdy nie wypuszczają zdobyczy raz pochwyconej. Wszystko to składało się na całość, dosyć niepokojącą i nieprzyjemną dla innych; profesor jednak widocznie zadowolonym był z niej dla siebie.

Usłyszawszy wchodzącego kamerdynera, podniósł oczy na kominek, popatrzył na bardzo ładny zegar stojący na nim, a zdający się być wcale nie na swojem miejscu między pospolitemi meblami, które go otaczały, i rzekł głosem więcej sztywnym niż ostrym.

— Siódma bez pięciu minut! kurjer mój przychodzi o pół do siódmej. Przynosisz mi go dzisiaj o dwadzieścia pięć minut poźniej jak należało. Pierwszy raz co go nie będzie na moim stole o pół do siódmej, opuścisz służbę u mnie o ósmej.

— Czy pan będzie jadł teraz obiad? — spytał służący odchodząc.

— Teraz jest siódma bez pięciu minut, a ja jadam o siódmej! Wiesz o tem, boś już od trzech tygodni w służbie u mnie! Zapamiętaj sobie, że nigdy nie zmieniam raz postanowionych godzin i że nigdy nie powtarzam rozkazów moich.

Profesor położył dziennik na stole i zabrał się znowu do pisania memorjału, który miał się ukazać nazajutrz w *Annalen für Physiologie*. Nie popełnimy żadnej niedelikatności, wymieniając tytuł tego memorjału:

Dla czego wszyscy Francuzi dotknięci są dziedzicznem wyradzaniem się?

Podczas kiedy profesor zajmował się pracą swoją, służący wniósł do pokoju obiad, złożony z ogromnego półmiska kiełbasy z kapustą i olbrzymiego kufla piwa; pocichu ustawił go na stoliku koło kominka i wymknął się z pokoju. Profesor położył pióro i zabrał się do jedzenia, które widocznie robiło mu wielką przyjemność, większą niżby się można było spodziewać po tak poważnym człowieku. Potem zadzwonił i zażądał kawy, wreszcie zapalił wielką porcelanową fajkę i wrócił do pracy.

Było blizko północy, kiedy profesor podpisał ostatnią kartkę; natychmiast przeszedł do sypialnego pokoju swego, zamierzając udać się na spoczynek dobrze zasłużony. Dopiero znalazłszy się w łóżku, rozerwał opaskę dziennika i wziął się do przeczytania go. W chwili kiedy sen zaczynał już morzyć profesora, uwagę jego ściągnęło imię cudzoziemskie „Langevol“ wymienione w kronice, opisującej monstrualny spadek. Ale napróżno usiłował przypomnieć sobie, gdzie i kiedy słyszał to nazwisko, nie mógł dokazać tego. Straciwszy minut kilka na daremnem odgrzebywaniu dawnych wspomnień, rzucił dziennik i zdmuchnął świecę; wkrótce potem donośne chrapanie dało się słyszeć w pokoju.

Jednakże zjawiskiem fizjologicznem, które doktor Szultze sam badał już kiedyś i szczegółowo opisał, imię to Langevol prześladowało go i we śnie nawet. Tak, że nazajutrz rano, budząc się, machinalnie je powtarzał jeszcze.

Nagle, w chwili kiedy miał spojrzeć na zegarek, odnalezione wspomnienie błyskawicą oświeciło go. Porwawszy wówczas dziennik leżący u stóp łóżka, odczytał razy kilka z rzędu alineę, którą dnia wczorajszego o mało nie ominął był; przyczem przesuwał ręką po czole, jak gdyby chcąc skupić myśli. Widocznie rozjaśniało mu się w głowie, bo nie włożywszy nawet szlafroka swego w wielkie bukiety, pobiegł do kominka, zdjął mały portret w miniaturze, zawieszony obok zwierciadła, i odwróciwszy go, starł rękawem zakurzony papier, znajdujący się po drugiej stronie fotografii.

Profesor nie omylił się. Za portretem znajdowało się nazwisko, wypisane żółtawym atramentem; pół wieku czasu zatarło prawie napis: *Therese Schultze, geborene Langévol*. (Therese Schultze, née Langévol.)

Tegoż wieczora profesor wyruszył pociągiem, idącym wprost do Londynu. (C. d. n.)

Kronika Tygodniowa.

(*Fakultet medyczny we Lwowie. W sprawie wystaw ogólnych dzieł sztuki. Zeszyt illustrowany „Na głodnych“. Ś. p. Bronisław Zaleski. Aforyzmy Wincentego Pola o Wschodzie. Nieporządki w urzędzie pocztowym.*)

Uporczywie utrzymuje się pogłoska, że sprawa dodania fakultetu medycznego do uniwersytetu we Lwowie, jest już prawie załatwioną. Otóż zapewnić możemy, że nic jeszcze w tej mierze pewnego nie ma.

Przeszłego roku uchwaliła, jak wiadomo Rada państwa rezolucję, według której fakultet medyczny miał być we Lwowie utworzonym i poleciła ministerstwu wstawić odpowiednią sumę do budżetu. Ministerstwo jednak nie uczyniło tego, więc w tym roku, w najbliższym czasie sprawa ta musi być jeszcze raz przez koło polskie poruszoną; chodzi bowiem o to, żeby w komisji budżetowej wstawiono 50.000 reńskich, na ten fakultet medyczny.

Jakie są szanse przeprowadzenia tej sprawy w komisji — niewiadomo. Ba! niewiadomo nawet jak Koło polskie zechce się na nią zapatrywać i czy użyczy jej gorętszego poparcia.

Niewiadomo zkąd rozniosła się po Lwowie pogłoska, która jest nawet kolportowaną przez członków uniwersytetu, że ta instytucja, gdyby ją rozszerzono przez dodanie wydziału medycznego, zostałaby przeniesioną do gmachu Szkoły Politechnicznej, na Nowym Świecie. Otóż to przypuszczenie zupełnie jest bezzasadnem, a to z tej prostej przyczyny, że podobna translokacja jest niemożliwą. Gmach szkoły politechnicznej, specjalnie został wybudowany dla celów technicznego wychowania, z salami konstrukcyjnemi,

rysunkowemi, muzeami i tem wszystkiem co z wychowaniem takiem ma związek. Uniwersytet, ze swym tysiącem słuchaczy, wielką ilością wykładów, nie mógłby się zmieścić w zabudowaniu Szkoły politechnicznej, i nie wystarczyłoby sal na liczne a jednoczesne wykłady.

Pogłoska ta jest więc bez żadnej podstawy.

* * *

Eureka!...

Znaleźliśmy nareszcie... Grzmijcie bębny i fanfary! Nie do uwierzenia — a jednak prawdziwe!... Widzieliśmy na własne oczy aż trzech... członków należących do komitetu, który miał się zająć urządzeniem wystaw ogólnych polskich dzieł sztuki. Może nareszcie znajdziemy sposób dowiedzenia się, co się z tą całą sprawą stało!...

Otóż ci trzej członkowie, po bliższych badaniach, po dłuższej indagacji zeznali, że o tem co się robi *nic a nic, ale to zupełnie nic nie wiedzą!*

Nie mają nawet listy członków komitetu i nie mogą ich wyliczyć, bo przy jego zawiązywaniu się nie spisano żadnego protokołu.

Stan więc rzeczy jest obecnie taki:

Redakcje czasopism nic o tem nie wiedzą, Towarzystwo sztuk pięknych nic nie wie, członkowie komitetu wykonawczego nic nie wiedzą..

A więc *kto* wie? *That is the question!*

* * *

W Warszawie, za inicjatywą kilku redakcji wyjść ma niedługo zeszyt zatytułowany: „Na głodnych“, a dochód z jego rozprzedaży, przeznaczonym będzie na Szlązaków, głodnych, jak sam tytuł objaśnia.

Jestto coś w rodzaju *Paris-Murcie*, o którym wspominaliśmy niedawno.

Znane w literaturze imiona mają dać artykuliki, aforyzmy z podpisami, które będą potem autografowane a artyści dostarczyć mają szkiców różnego rodzaju.

Niewątpimy, że dochód będzie znaczny. Dziwi nas tylko polemika, która się z tej okazji w pismach warszawskich wywiązała. Projekt sam napotkał dość licznych przeciwników i hejże bawić się w kłótnie, które tam są teraz na porządku dziennym, a których tematem zwykle rzeczy najbardziej błahe i najmniej uwagi godne. Z powodu braku możności polemiki w sprawach politycznych — plotki dostarczają codziennej strawy.

* * *

Bronisław Zaleski, urodzony na Litwie 1818 roku w powiecie Słuckim, gubernji Mińskiej, w Ruszkiewiczach, dziedzicznych dobrach rodziców swoich, zmarły w Paryżu dnia 3. stycznia b. r., należał do najczystszych pracowników polskich. W lecie 1838 roku porwany w sprawie Konarskiego Szymona wraz z kilkunastu kolegami swoimi z Dorpatu, gdzie chodził na uniwersytet, wrzucony do więzienia w Wilnie, przesiedział w onem do początku listopada 1841, t. j. całe lat 3 i miesięcy 3 — a były to okropne czasy, w których dzikiemu prezesowi wileńskiej wojennej śledczej komisji, księciu Trubeckiemu, wszystko było wolno, byle „wydusił“ prawdę i ucieszył nią cara. Zesłany do jednej z wielkorosyjskich gubernji na wygnanie pod dozór policji, w lat cztery ułaskawiony, powrócił do domu rodzicielskiego i zajął się gospodarstwem. Zaledwie osiadł spokojnie, zjawia się w końcu r. 1845 emisarjusz Jan Röhr na Litwie (zmarły przed dwoma laty w Gdańsku), wysłany przez owoczesną centralizację, poetycznie marzącą, że byle nadać własność chłopom, a zaraz miliony kos błysną na całej przestrzeni dawnej Rzeczypospolitej. Mylono się w najlepszej wierze; głowy gorące, serca pełne ofiarności, mierzyły drugich własną miarą, i to było ich winą; zważywszy jednak, że byli to wszyscy ludzie wielkiego zaparcia, nie szukający próżnej chwały, nie pchani próżnością do odgrywania roli, lecz szczerze pierwsi gotowi iść na śmierć dla sprawy świętej — niech nikt nie rzuca na nich kamieniem, jak też nie rzucał swojego czasu Bronisław Zaleski, z którym naturalnie przez Apolinarego Hofmeistra i Józefa Bogusławskiego, zaraz się Röhr skomunikował. Zaleski odradzał i nie chciał do niczego należeć; lecz pomimo tego, za to tylko, że wiedział a nie doniósł, porwany powtórnie do więzienia w Wilnie na wiosnę roku 1846, znowu przesiedział całe dwa lata w więzieniu. Niezupełnie prawdziwym jest szczegół przez pana L. D. podany w jednym z ostatnich felietonów *Czasu*, jakoby Zaleski siedząc w celi obok Hofmeistra, nauczył tego ostatniego za pomocą pukania *całych* „Psalmów przyszłości“ Zygmunta Krasińskiego. Po dwuletniem więzieniu Zaleski został skazany w proste sołdaty bez wysługi do 2. bataljonu orenburskiego, Röhr w katorgę na wieczne czasy, Hofmeister w katorgę na lat 10 do Orska, Bogusławski w katorgę na lat 12 do Tomska i t. d. bez liku. Będąc sołdatem spotkał się w stepach azjatyckich z genialnym Tarasem Szewczenko, poetą ruskim, skazanym przez Mikołaja za to że kochał Ruś swoją, tak samo jak Bronisław za to że kochał Polskę swoją. Szewczenko nienawidził „Lachów“ tak samo jak i „Moskalów“, a był do tego jak żółć zgorzkniały. Z początku unikał towarzystwa Polaków, lecz nie równemu geniuszem lecz zdrowszemu sercem Polakowi udało się wreszcie ugłaskać rozżalonego do wszystkich i wszystkiego Szewczenkę. Odtąd stali się prawdziwymi przyjaciółmi.

Jednym z najlepszych portretów Szewczenki, jest portret zdjęty z natury przez Zaleskiego. Bo trzeba wiedzieć, że Zalewski prześlicznie rysował. Jego akwarele i akwaforty rzeczywiście mają niepospolitą wartość. Widzieliśmy jedną z prac podobnych jego. Jest to portret Hofmeistra Apolinarego, robiony w Orsku, roku 1850. Z łbem ogolonym, w aresztanckiej siermiędze, w kajdanach, koszulą rozwartą a w ręku piła stolarska, twarz pełna wyrazu — słowem prześliczny wizerunek katorżnika-Polaka. Niniejszy panujący car Aleksander, amnestjonował Zaleskiego z sołdatów kraju Orenburskiego, gdzie nawiasem mówiąc, Polacy zesłani jak Zaleski, ks. Zielonka, Zygmunt Sierakowski i wielu innych, nie mały wpływ wywierali nie tylko na ludność tameczną, lecz nawet na samych dygnitarzów carskich. Dość wspomnieć naprzykład hr. Perowskiego, b. generał-gubernatora Orenburgskiego, ktory nawet w ważniejszych rzeczach administracyjnych pytać był zwykł o radę księdza Zielonkę. Powróciwszy do kraju Zalewski przedewszystkiem zajął się nie swojemi, lecz kraju interesami. Były to czasy, w których wielu najlepszych Polaków pokładało pewne nadzieje w „humanitarno-liberalnych“ dążnościach cara Aleksandra II. Nie podzielał podobnie różowych nadziei Zalewski, lecz nie widząc powodu dla czego nie robić dobrze według możności, przyjął mandat współobywateli swoich mińskich i zasiadł w Petersburgu w komitecie wysadzonym w sprawie reformy włościańskiej. Zdrowie nie pozwalało mu dłuższego urzędowania i niebawem w roku 1860, poprosiwszy o paszport dla poratowania zdrowia, wyjechał na zawsze za granicę. Przez Rzym udał się do Paryża, gdzie stale zamieszkał. Przeciwnym był powstaniu 1863, lecz pomimo tego spełniał gorliwie obowiązki swoje w zakresie mu poruczonym. Wiadome są jego stosunki z hotelem Lambert, przekonania którego dzielił. Po powstaniu oddał się przeważnie pracy historycznej. Po zgonie Plichty, wybrany sekretarzem Towarzystwa historyczno-literackiego, położył prawdziwe zasługi. Znaczna część prac w „Rocznikach“ tegoż towarzystwa, jest pióra Zaleskiego. Znaczniejsze z dzieł jego są: „Prywatna korespondencja krajowa króla Stanisława II“, której część wydał w streszczeniu z papierów hotelu Lambert, „Życie księdza-żołnierza Hieronima Kajsiewicza“, „Z życia Litwinki“ „Żywot księcia Adama Czartoryskiego,“ „Rzym jako stolica Włoch“. i t. d. Zaleski Bronisław (żaden krewny Bohdana, ów z Litwy a ten z Ukrainy) należał do stronnictwa Zmartwychwstańców, był gorliwym ultramontaninem. Jakkolwiek pod tym ostatnim względem stoimy na różnych biegunach, nie przeszkadza to nam wcale, zważywszy na nieskazitelną prawość charakteru zmarłego, na jego szczerość przekonań, na jego wreszcie miłość Ojczyzny, zawołać wraz ze wszystkimi: cześć Jego pamięci!

* * *

Znany nasz akwarelista p. Franciszek Tepa, wyjeżdżając na zwiedzenie Egiptu w r. 1853, otrzymał od Wincentego Pola na drogę kilka aforyzmów o Wschodzie, których udzielił łaskawie do przedrukowania. Pol zajmował tak wybitne stanowisko w naszej literaturze, iż sądzimy, że każda najdrobniejsza spuścizna po nim, winna być oddaną na użytek publiczny.

Oto są słowa poety:

„Wschód ma ostre kontury — jednak nie w konturach lecz w kolorycie leży tu cała siła. —

Fizjognomię krajowi nie daje tu roślinność jak w naszych okolicach, lecz jedynie oświecenie i zwierzęta miejscowe — Fizjognomię ludziom daje strój.

Pięknym kształtom i nagości zostawia ten strój niewielkie pole — ztąd leży cały wyraz w ogólnym zarysie postaci a cała poezja w rzucie fałdów i w tajemniczem osłonięciu piękności lub siły. Anatom wpada tu w desperacją, ale dla badacza duszy otwiera się wielkie pole, ztąd całem zadaniem *oko*.

W oku — w spojrzeniu leży cała tajemnica Wschodu — tu odbijają się całe przeszłe dzieje ludzkości i tu jest człowiek têm, czém go zrobiła historja, krążąca jeszcze w pierwotném kole rzeczy ludzkich — ztąd jest tu człowiek kupcem na gwarnym bazarze — mędrcem w grocie i u źródła — rycerzem na pustyni — ztąd są charakterystycznemi cechami fizjognomji ludzkich: bystrość, mądrość prorocza i odwaga spokojna.

Połowa dramatu leży zawsze za sceną skutek objawia się czynem, pobudki leżą zakryte.

Pustynia ostrzy zmysły i odwagę; bo na

pustyni idzie wiecznie gra o życie i już ona otacza człowieka jak wróg.

Dla miękkich rysów i scen serca nie wielkie pole; bo życie rodziny zakryte, a niewiasta i dziecię żyje w ukryciu, mąż w pokoleniu.

Na sprawach pokolenia kończy się wszystko, narodu i rządu nie ma, ale jest sąd i wyznanie.

W tym kierunku ducha jest sprawiedliwość najwyższą cnotą, zagorzałość religijna, poświęcenie, zemsta — obowiązkiem.

Człowiek na Wschodzie nie umie przebaczyć, nie umie kochać — ale wierzy; i ta jego wiara jest tak gorącą, iż dla niej zdolny jest wyrzec się na zawsze miłości, i pogardza nadzieją.

Głód, pragnienie, poniżenie i rany zniesie cierpliwie, ale skona, jeżeli mu odmówisz rozkoszy i uczucia zemsty; ztąd gore jego oko nadzwyczajnym ogniem, ztąd suche kości, ogorzałość ciała i zagorzałość duszy.

W obrazach wypada tedy takie postacie umieszczać na samym przedzie, aby nic z wyrazu tej duszy nie znikło, a żadna z barw nie straciła świetności; — w średniej dali będą już postacie niewyraźne, a perspektywy powietrznej nie ma tam wcale, bo wszystko drży i spływa w jeden mdły obraz, spiekłem powietrzem zadęte.

Okolice Wschodu są bez zwierciadła, bo się tu niebo nie odbija w wodzie, a pragnienie gazeli odbija się w kolorycie całej okolicy: wszystko jest suche, spiekłe, łaknące.

Ztąd to pragnienie nocy i rosy, ztąd ta tęsknota ku gwiazdom, które są jedynym przewodnikiem dla człowieka w kraju, gdzie brak jest wód bieżących.

* * *

Zwracamy uwagę c. k. Dyrekcji poczt. na nieprawidłowe postępowanie w urzędzie pocztowym lwowskim przy stemplowaniu dzienników zagranicznych, gdzie ściąganą bywa należytość stemplowa bez względu czy pismo jej ulega, lub nie, a na wszelkie reklamacje nikt żadnej nie zwraca uwagi. Świeży tego przykład mamy na *Dwutygodniku* Amerykańskim, który jako pismo dwutygodniowe nie ulega stemplowi. Żądano od nas opłaty 98 ct., a gdy tej odmówiliśmy, wstrzymano wydanie czasopisma, które aż dotąd na poczcie pozostaje. Jest to nieprawidłowość tem bardziej zasługująca na usunięcie, ile że publiczność rzadko kiedy jest obznajomiona z odnośnemi przepisami i nader często płaci to, co się od niej nie należy.

* * *

Na dochód głodnych w Szląsku, nabywać można za pośrednictwem Administracji Tygodnia, kopie litografowane z obrazu Matejki „Skarga“, które są wystawione na sprzedaż w Księgarni Polskiej.

WIADOMOŚCI z KRAJU i ze ŚWIATA.

Literatura

*** Konkurs na dzieło „o wychowaniu macierzyńskiem“, ogłoszony przez redakcję „Bluszczu“ 8. stycznia 1878 roku, już rozstrzygnięty został.

Komitet konkursowy, w którym zasiadały panie: Paulina Kraków i Jadwiga Sikorska, oraz pp. Piotr Chmielowski, Florjan Łagowski, Roman Plenkiewicz i Henryk Struve, miał do ocenienia ośm prac nadesłanych na konkurs. Z pomiędzy pracwspomnionych trzy zwróciły uwagę komitetu, jakoż każda z nich przez trzech członków rozbieraną była.

W konkluzji komitet uznał, że rękopism opatrzony znakiem trójkąta najbardziej zbliża się do przeciętnych wymagań członków komitetu konkursowego. Autorka tej pracy starała się rozwiązać wszelkie szczegółowe kwestje przedstawione w programacie konkursowym.

Wielostronne czytanie pomogło jej utrzymać się na stanowisku wiedzy pedagogicznej dzisiejszej, a miłość *pięknych* stron przeszłości nie dozwoliła jej zerwać nici, która łączy idące po sobie pokolenia na drodze — w najszlachetniejszym rodzaju pojmowanego postępu.

Treść dzieła zatem odpowiedziała oczekiwaniom i okazała się bez zarzutu. Co się tyczy strony formalnej, ta jakkolwiek w pojedynczych ustępach nie jest wolną od usterek, odznacza się przecież w pozostałych wielkiemi zaletami, bo jasnością, przystępnością i pociągającem ciepłem uczucia.

Zgodzono się więc na to, aby redakcja „Bluszczu“ przesłała autorce rękopismu opatrzonego znakiem trójkąta szczegółowe wskazówki, poczynione przez członków komitetu nad jej pracą — z prośbą, aby przy ogłaszaniu drukiem swego dzieła, zechciała je uwzględnić.

Nakoniec postanowiono, aby tejże autorce przyznaną została nagroda konkursowa.

Po otworzeniu koperty okazało się, że autorką nagrodzonej pracy konkursowej jest pani Zofia Kowerska.

Konkurs zatem ogłoszony na dzieło tak doniosłe mające znaczenie, pomyślnym został uwieńczony skutkiem. Dzieło pani Kowerskiej zapewne niebawem wyjdzie z druku i wówczas zapoznamy się bliżej z tą pracą, której wartość musi być niewątpliwą. My w szczególności znamy już talent autorki i w innym kierunku, pani Kowerska bowiem jest autorką drukowanej pod literami Z K przed kilku laty w „Wieku“ ładnej powieści pod tytułem: „Zemsta Heleny“.

*** Nowella Dickensa pod tytułem „Hymn Bożego Narodzenia“, którą obecnie pomieszcza „Tygodnik Ilustrowany“, drukowaną była już przed kilkunastu laty z drzeworytami w „Przyjacielu dzieci“.

*** Wyszedł z druku „Wykład teoretyczny i praktyczny korespondencji handlowej“, opracowany przez pana Nikodema Krakowskiego, buchaltera banku handlowego w Warszawie; dzieło to nagrodzone zostało na konkursie ogłoszonym przez szkołę handlową prywatną w Warszawie i nakładem tejże wydane.

Jestto pierwsza praca w tym rodzaju, w której uwzględniono wymagania językowe; autor też najwięcej dokładał starań, aby używane powszechnie w stosunkach handlowych wyrażenia obce, o ile możności, zastąpić wyrazami i wyrażeniami czysto polskiemi.

*** Pisma warszawskie w sprawie słownika jeograficznego, podają list następujący:

W połowie grudnia r. z., gdym już miał wydrukowane trzy arkusze pierwszego zeszytu „Słownika jeograficznego“, posłałem je pod opaską do Drezna czcigodnemu jubilatowi J. I Kraszewskiemu w tej myśli żeby je przedstawić najprzód mężowi, którego niespożyte zasługi literackie i obywatelskie czyniły najodpowiedniejszym do pobłogosławienia swoją ręką dzieła podjętego i wykonanego w duchu literackich i obywatelskich potrzeb ogółu.

Nie zawiodła mnie nadzieja...

W dniu 28. grudnia otrzymałem z Drezna list, a w nim następujące wyrazy, które tu z chlubą powtarzam:

„Drezno, 26. grudnia. Wczoraj odebrałem z łaski pańskiej pierwsze arkusze tak pożądanego „Słownika jeograficznego“ i spieszę z wyrazami wdzięczności, wielce uszczęśliwiony, że ta olbrzymia praca już na świat wyszła. Można jej panu dobro dziejowi z całego serca powinszować; brakło nam jej, będziemy winni panu ten nadzwyczaj ważny materjał dla wszystkich. Z najszczerszem: Szczęść Boże, pełen szacunku, sługa wierny J. I. Kraszewski “

Przytaczając te słowa pisane ręką najznakomitszego z naszych nietylko powieściopisarzy ale i krajoznawców współczesnych, nie mogę, zwłaszcza w chwili, gdy pierwszy zeszyt „Słownika“ wyszedł już z pod prasy, nie mogę się wstrzymać, żeby nie złożyć na tem miejscu wyrazów wdzięczności panu Władysławowi Walewskiemu, obywatelowi z okolic Kutna, który przez spółudział swój w wydawnictwie dał mi możność poświęcenia się tej pracy, przybrania pomocników, rozpoczęcia druku i stał się poważną rękojmią wykończenia dzieła w terminie zapowiedzianym, przy regularnem wydawaniu zeszytów

Jeżeli dzieło to, jak się spodziewam, w literaturze naszej krajoznawczej pozostanie, to w szeregu zasłużonych opiekunów naszego piśmiennictwa pozostać też winno imię Władysława Walewskiego, który tak pięknie podtrzymuje zasługi obywatelskie swojej rodziny i wstępuje w ślady nieodżałowanego brata swojego, ś. p. Cyprjana, niegdyś spółredaktora Bibljoteki Warszawskiej.

Na zakończenie słówko do was, łaskawi czytelnicy i korespondenci „Słownika“.

Macie już lub za dni parę będziecie mieli pod ręką pierwszy zeszyt tego wydawnictwa, którego każdy z was może i powinien być spółpracownikiem. Każdy z was zna pewną okolicę kraju, mniejszą lub większą, jeden jest obeznany z gospodarstwem rolnem, inny ma dostęp do statystyki urzędowej, jeszcze inny zna wybornie naturę gruntu, rzeki, jeziora, lasy, stawy i t. p.

Niech każdy opisze co opisać może, nie sadząc się na formę, na styl, niech to nikogo nie zraża, że wiadomości w danym zakresie nie będą wszystkie wyczerpane: nadsyłajcie jak najwięcej takich luźnych notat pod adresem redakcji naszego pisma, a bądźcie przekonani, że redakcja „Słownika“ wszelką notatkę spożytkuje, o ile ta będzie wchodziła w ramy programu tego dzieła.

A program ten macie przed sobą już w wykonaniu, macie w ręku zeszyt I. z objaśniającą przedmową, którą proszę uważnie odczytać.

Filip Sulimierski.

*** Czeskie fałszowania. Profesor czeskiego języka i literatury przy uniwersytecie wiedeńskim, pan Szembera, wygotował właśnie przyczynek do trzeciego wydania swych „Dziejów czeskiej literatury“. W przyczynku tym dzieli on przekonanie morawskiego profesora Waseke, że „Królodworski rękopis“ jest podrobieniem Hanki, na równi więc z „Sądem Libuszy“ uważa go za utwór nowszych czasów i z literatury staroczeskiej wyklucza. Prócz tego dowodzi profesor Szembera, że urywek jakoby najstarożytniejszego czeskiego misterium znanego p. t. Mastickar (szarlatan), dotychczas uważany za artystyczny owoc twórczości XIII. wieku, również należy do szeregu falsyfikatów Hanki, gdyż jest naśladownictwem niemieckiego wielkopostnego djalogu. Rękopis ten został podobnie jak inne podrobiony przez Hankę, który dowodził, że znalazł go w bibljotecznem muzeum na okładce jakiejś starej książki. Jak wiadomo, Mastickar został napiętnowanym przez Hanusza i Nebeskego jako dzieło plugawe literatury czeskiej. Prócz tego winniśmy przypomnieć i tę okliczność, że Nebesky podaje Dundera jako odnalazcę Mastickara, jakkolwiek Hanka zasługę tę wyraźnie sobie przypisuje. Kiedyż nareszcie rozproszą się chmury niepewności otaczające tyle staroczeskich rękopisów? Hanka widocznie postąpił sobie tak, jak Macpherson w Szkocji ze swemi pieśniami barda Ossyana a Chatterton owo „Cudowne dziecię Bristolu“ ze swemi poezjami Rowleya, niby zakonnika z XV. wieku. Podrobienie jednego i drugiego wykazała nauka. Wszystkie owe falsyfikaty należy przypisać, jak to zresztą Macaulay zauważył, pewnego rodzaju manii. Bo zarówno Hanka jak Macpherson i Chatterton byli ludźmi niezwykłego poetycznego talentu i zamiast poezje wydawać pod własnem nazwiskiem, woleli je ogłosić jako odnalezione średniowieczne rękopisy. Jest to dziwnego rodzaju zaparcie się miłości własnej. O fałszerstwach Hanki szepcą sobie Czesi tylko do ucha; czas już, ażeby zaczęli mówić głośno ci, którzy coś do powiedzenia mają.

Nauka.

*** Ernest Świeżawski, sumienny i gruntowny badacz przeszłości naszej, wydał świeżo ciekawe dziełko: „Przyczynek do dziejów medycyny w Polsce“. Jest to odbitka z „Pamiętnika Towarzystwa lekarskiego warszawskiego“.

W książce tej, opartej na źródłowych studjach

czytamy zajmujące a nieznane dotąd szczegóły o medykach polskich i ich honorarjach w XIV i XV wieku, o szpitalach i urządzeniach hygienicznych ówczesnej epoki, o biskupie i kanclerzu Janie Radlicy, lekarzu z XIV wieku, o prostytucji w dawnej Polsce itp.

O ile wiemy, pracowity autor przygotował cały szereg studjów historycznych pokrewnej treści, jak o szkole lekarskiej i prawnej w XIII i XIV wieku, o sławnej lekarce polskiej z wieku XIII, o meteorologji i geologji w dawnej Polsce i kilka innych.

Jestto niwa badań, zupełnie dotąd u nas nieuprawiana, a hojnie się wypłacająca źródłowemu poszukiwaniu.

⁂ „Historja filozofji" Lewesa. Dowiadujemy się, że dzieło pod powyższym tytułem zmarłego niedawno głośnego myśliciela angielskiego, Henryka Lewesa, wkrótce zostanie przetłumaczone na polski język.

⁂ W Paryżu u Dreyfusa, wyszło widok publiczny dzieło, p. t. Żywot i odkrycia Krzysztofa Kolumba, niegdyś napisane przez syna jego Fernanda Colombo, w przekładzie francuskim E. Müllera.

⁂ W Petersburgu d. 1 stycznia nastąpiło otwarcie szóstego kongresu rosyjskich przyrodników i lekarzy; rektor uniwersytetu, Beketow, powitał zebranych mową.

⁂ W Serbii — dekret ministerjalny wzbrania wywozu zboża za granicę.

⁂ Turyńska akademia umiejętności przyznała nagrodę Mondiale w sumie 12 000 franków Karolowi Darwinowi za jego odkrycia w fizjologji roślinnej.

⁂ Akademia francuska dokonała zmiany swego biura na pierwszy kwartał roku 1880; książę Aumale wybrany dyrektorem, a Henryk Martin kanclerzem.

⁂ „Rozradzadzanie się rodu ludzkiego" ze stanowiska fizjologji i etnografji, przez Edwarda Reicha. Jena 1880. Autor nagromadził bogaty statystyczny materjał. Ekonomista i lekarz będą mu wdzięczni, chociaż trudno zgodzić się na jego wszystkie wywody. Zapewne cyfry trzeba objaśniać; lecz także nie należy z nich za wiele wnioskować. Uwagę tę stosujemy głównie do zawartej w dziele części statystycznej, opartej na chwiejnych podstawach. Nie zaszkodziłaby mu większa objektywność; ponieważ jednak nie jest ono zbyt popularnem, niema więc obawy, aby poglądy autora zyskałyby zbyt powszechną powagą. Wytłumaczymy się jaśniej. Reich wychodzi często z idealnego stanowiska. Ilekroć opiera się na badaniach innych, szukając argumentów dla swych humanitarnych dążności, gdy z cyfr, których niedokładność nazbyt jest uderzającą wysuwa rady dla policji państwowej, hygjeniczne przepisy itd., wówczas daje się zbyt unieść zapałowi. Obok chwalebnej dążności dzieła należy zaznaczyć pracowitość i sumienność, z jaką autor korzystał z literatury (z 368 dzieł). Wskutek tego książka ta uchodzić może jako niepospolite źródłowe dzieło.

⁂ „Eksplozja djamentu" Na ostatniem posiedzeniu filadelfijskiej akademii nauk przyrodniczych profesor Leidy przedstawił zebranym spinkę rękawkową z czarnego agatu, w której środku oprawny był w złoto djament mający 7 milimetrów średnicy. Jubiler Kretzmar przyniósł był tę spinkę profesorowi z wiadomością, iż gdy dawniejszy jej właściciel, niedawno mając ją w rękawku, oparł się pewnego razu o okno i stał tak w promieniach słońca, dyament nagle eksplodował z taką siłą, że jeden odłamek utkwił w ręce a drugi w skroni tego pana. Przy obejrzeniu djamentu znaleziono na uszkodzonej powierzchni ślad małego wydrążenia; jaki nieraz znajduje się w kryształach kwarcu, oraz maleńką okruszynę węgla. Profesor Leidy był zdania, że eksplozja nastąpiła wskutek nagłego rozprzężenia się pod działaniem promieni słonecznych jakiegoś ulatniającego się płynu, który zapełniał wydrążenie w djamencie, podobnie, jak się to zdarza w wielu innych minerałach.

Prasa perjodyczna.

⁂ Od dawna zapowiedziany wielki papieski dziennik *Aurora* miał wyjść w dniu 1. stycznia; dotąd wszakże nie nadszedł z Rzymu ani jeden numer.

⁂ Pismo ulotne, *Die Spinne*, która w najgwałtowniejszy sposób występuje przeciw izraelitom i kierowane jest przez ligę anti-semicką, zostało zakazane.

⁂ Dziennikarstwo w Anglji. W królestwie Wielkiej Brytanji wychodzi 1040 pism. Z tej liczby 342 w samym Londynie. Z pomiędzy dzienników londyńskich 14 wychodzi w dzień, 5 zaś wieczorem.

Dziennik *Times* założony w 1788 r. stanowi obecnie własność sir Waltera, członka parlamentu angielskiego, głównym zaś jego redaktorem jest Chinnery.

Times'a wybija się codziennie 50.000 egzemplarzy, w niektórych bywa drugie i trzecie wydanie — cena numeru wynosi 3 pensy (= 15 krajcarów).

Od lutego 1877 r. *Times* co tydzień daje dodatki, zawierające wiadomości zagraniczne i wypadki ważniejsze zaszłe w ciągu tygodnia

Najstarszym dziennikiem jest *Morning Post*, wychodzi bowiem od 1742 roku.

Jestto organ szlachty i wyższego świata, żywioł obcy doń nie należy.

Liczba egzemplarzy codziennych jest mniejsza znacznie, bo tylko 10.000 egzemplarzy; cena taż sama co *Times'a*.

Egerją tego dziennika nazywają Montague Korea, sekretarza lorda Beaconsfielda.

Najwięcej rozpowszechnionym dziennikiem jest: *Daily Telegraph*, wychodzący codziennie w liczbie 170.000 egzemplarzy, zatem największej na całym świecie.

Właścicielem *D. T.* jest izraelita Lövy.

Redaktor, człowiek niezmiernie przedsiębiorczy, wspólnie z *New-York-Heraldem* wysłał swoim kosztem wyprawę Stanleya do Afryki, Johna Smidha zaś do Azji.

Szczęśliwym współzawodnikiem *Telegrafu* jest *Standard*, organ konserwatystów, liczący równie wielu czytelników, lecz zajmujący poważniejsze stanowisko.

Daily News, założony w 1846 r., jest organem krańcowych liberalnych, właścicielem jego jest p. Labouchère.

Pomimo utalentowanej redakcji, nie wielkie jednak liczy kółko czytelników.

Morning Advertisser wychodzi od 1794 r., numer kosztuje 3 pensy.

Z poprzedniemi jednak nie może równać się ani co do redakcji, ani też liczby egzemplarzy.

Sztuki piękne.

⁂ Na wystawie towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Warszawie umieszczone zostały w dniach ostatnich następujące obrazy:

Andrzeja Grabowskiego „Portret damy", Antoniego Gramatyki „Na cmentarzu", Aleksandra Lessera „Władysław Łokietek ratuje się ucieczką z Krakowa, gdy mieszczanie Szlązaków do miasta wpuszczają w roku 1290", tudzież „Królewicz polski, Jan Kazimierz Waza, więziony we Francji w roku 1639" (ponownie), Edwarda Lövy'ego „Zadżumiona", Kazimierza Mireckiego „Modrzejewska w roli szekspirowskiej Julji", Nadziei Pane „Burza", Antoniego Piotrowskiego „W miasteczku", Franciszka Ruśkiewicza „Źródło w złotym Potoku", Zygmunta Sidorowicza „Zima" tudzież „Noc", Maurycego Sztencla „Portret damy" i Romana Szwojnickiego „Portret mężczyzny".

Do salonu rzeźb przybyły dwa nowe dzieła:

Ludwika Kucharzewskiego marmurowa płaskorzeźba przedstawiająca „Chrystusa w otchłani" i Kazimierza Ostrowskiego „Szkic do pomnika na cmentarz wiejski".

⁂ Konkurs tegoroczny, ogłoszony przez warszawskie towarzystwo zachęty sztuk pięknych, został już rozstrzygnięty.

Nagród przyznano trzy.

W dziale rzeźbiarskim pierwszą nagrodę otrzymał pan Karol Kloss za wykonanie „Chrystusa zmartwychwstałego".

Drugą nagrodę przyznano panu Słowomirowi Celińskiemu, który wykonał statuetkę „Wita Stwosza".

W dziale architektonicznym nagrodzeni zostali panowie Dziekoński Józef i Franciszek Brauman za szkic do projektu budowy w rodzaju londyńskiego Atheneum.

Teatr.

⁂ Monachijska intendantura nadwornego teatru zawiadamia, iż w lipcu roku 1880 urządzony tu będzie szereg przedstawień wzorowych, z współudziałem najznakomitszych artystów różnych teatrów niemieckich. Dla zapewnienia sobie sił artystycznych poczyniono odpowiednie kroki, które uwieńczone zostały dobrym skutkiom. Szesnaście dramatów przedstawionyzh zostanie w czternastu dniach. Na scenie ukażą się dzieła Lessinga, Göthego, Szillera, Kleista i Szekspira.

⁂ Najnowszy dramat historyczny J. G. Kolara p. t. „Mistrz Hieronim", mający być wystawionym w teatrze czeskim, zakazany został przez dyrekcję policji. Policja motywuje swój zakaz tem, iż sztuka może pobudzić do nienawiści przeciw narodowości niemieckiej i religji katolickiej. Dyrekcja teatru czeskiego odniosła się o pozwolenie przedstawienia dramatu do ministerstwa.

Społeczne.

⁂ J. I. Kraszewski przesłał jak się dowiadujemy, 100 tomów swoich powieści, wydawnictwa lwowskiego dla górniczej biblioteki ludowej w Wieliczce.

⁂ W Wiedniu utorzyło się nowe dobroczynne stowarzyszenie pod nazwą „Przytulisko polskie", które już w początkach swego istnienia rozporządza funduszem 20.000 guldenów. Pierwsze walne zebranie nowego stowarzyszenia odbyło się 8 b. m. w pomieszkaniu tutejszego adwoka dro Pawła Dunieckiego. Stosunkowo znazny fundusz „Przytuliska" pochodzi z legatu.

⁂ W Warszawie na korzyść Szlązaków ma być jak słyszeliśmy, urządzony w salach Ratasza zbiorowy odczyt, współudział w którym przyjąć obiecała p. Modrzejewska.

Odkrycia i wynalazki.

⁂ Kronika zagraniczna pozwala nam zanotować nowy wynalazek, który prawdopodobnie bogatym w wyniki będzie. Niejaki Jan Bubeniczek w Wiedniu, po długich doświadczeniach wynalazł łatwy i tani sposób napawania drzewa metalami, przyczem drzewo nabiera blasku metalicznego, a także własności kruszcowych o tyle, iż się opiera skutecznie działaniu ognia, wody i niektórych kwasów.

⁂ Dyrektor Jan Palisa w Pola odkrył znowu planetę; ogólna liczba znanych małych planet wynosi 211, z których 5 w Azji, 67 w Ameryce, a 139 w Europie zostało odkrytych.

⁂ We wsi Jagodowie pod Kostrzynem pewien wieśniak odkrył starożytne cmentarzysko słowiańskie, na którym znajdują się dwa piece z wydrążonej cegły. Jestto pierwsze w tym rodzaju odkrycie na ziemi słowiańskiej. Uczeni mają się zająć szczegółowem zbadaniem tego ważnego pomnika czasów przedhistorycznych dopiero z wiosną.

⁂ „Etnologiczne odkrycia w górach Rodopu" dra Fliergiera. Wiedeń 1879. Autor zajmującej tej pracy dowodzi, że bulgarowie mieszkający w górach Rodopu są potomkami starożytnych greków. Opiera on się w tem przepuszczeniu głównie na miejscowych pieśniach bulgarów, wydanych przez Vyrkowica a wydrukowanych w części 1874 r. Zbiór podobnych poematów mitologicznej osnowy znajduje się w akademji zagrzebskiej Pieśni te bezsprzecznie prawdziwie i starożytne, prócz języka i metrycznej miary nic mają w sobie nic słowiańskiego; również nie znajdujemy tam nigdzie nazwisk słowiańskich. Natomiast odznaczają się one mitologicznem bogactwem i poetycznemi poglądami, nacechowanemi trackim charakterem, Wywody swoje popiera Fliegier w części badaniami prof. Geilera

w Zagrzebiu, które zgadzają się z samodzielnemi jego spostrzeżeniami. W pieśniach mieszkańców Rodopu spotykamy się z wybitną postacią zaczarowanego króla Orfena (Urfena) przypominającego Orfeusza. I tamtón do łez pobudza kamienie i drzewa ptaki w locie powstrzymuje itp. Dalej opiewa poeta kult wina w ognistych hymnach, co znów przypomina kult Dyonizjusza pochodzącego od traków, któremu to bogowi odpowiada w owych pieśniach Sira (błękitne lazurowe niebo). Również narodowa muzyka odznacza się tu tęsknota, która cechowała trackie melodje starożytności. Pomijaj inne dowodzenia i zaznaczamy tylko, że w pieśniach gór Rodopu znajdujemy wiele śladów mitów starogreckich. Autor dowodzi, że wiele z nich jest tracko-frygijskiego pochodzeni, a między innemi powiada, że gremity o przemianach (metamorfozy znajdujące się w bulgarskich pieśniach) są w ogóle trackiego pochodzenia.

Z PODRÓŻY.

(KOPENHAGA — MALMÖ).

Żegnaj więc Kopenhago, ojczyzno Brandesa i bigoterji, paryskiej wesołości i londyńskiej powagi, kosmopolityczny składzie rzeźb Thorwaldsena i rękawiczek, żegnaj rozkoszne Tivoli i ty grobowa Fruenkirke! Za chwilę wyruszamy do Malmö, przepłyniemy Zund, by pofrunąć przez Szwecję do Norwegji, do kraju wodospadów i nagich skał, łososiów i wolnomyślności, chłopów, homarów i wzorowej konstytucji...

Do pokoju zastukał garson hotelowy.

Wszedł, szeptał coś po duńsku przez minut kilka, przypomniał sobie po raz setny że go nie rozumiem, wskazał mi na ogłoszenie okrętu «Kong Oscar», póżniej na swój zegarek, poczem zabrał mój kufer podróżny i ruszyliśmy w drogę...

Godzina siódma rano, ale miasto jeszcze uśpione. Na ulicach pustki. Jesteśmy, zdaje się, w grodzie umarłych. Od czasu do czasu tylko jakaś dorożka przebiega nam drogę hałaśliwie. Przechodzimy przez Kongens Nytorw — najpiękniejszy i największy plac w Kopenhadze. Ogromna statua Chrystjana V, stojąca w środku, rzuca mi po raz ostatni swe bezmyślne spojrzenia, a otaczające ją posągi Aleksandra W. i Minerwy ironicznym wzrokiem obrzucają posąg króla, a raczej niefortunne dzieło rzeźbiarza. W nieobecności ludzi posągi, stojące na placu, zda się, żyją, bawią się i weselą. Oto Bissenowski Oelenschläger oczekuje z Artemidą. Wschodzące słońce oblało bronzowy posąg swemi promieniami i na twarzy poety zajaśniała dziwna jakaś pogoda i wesele.

Plac wyglądał w tej chwili bardzo malowniczo. Po obu stronach wrzynającego się w serce Kopenhagi kanału usadowiło się pełno okrętów i parowców. Ich wysokie maszty sięgają, zda się, nieba, tworząc improwizowane jakieś bulwary. Oto i poważna fasada nowego teatru. Śliczna budowla w stylu opery paryskiej, ale drobniejsza i nie razi zbytkiem ozdób. To też kiedy tamta wywołuje okrzyki podziwu, teatr tutejszy nęci wszystkiemi powabami sympatycznego piękna. Po chwili, minąwszy muzeum Thorwaldsena i wspaniały prostotą zamek Christianborg — stanąłem w porcie...

Tu za to wieczny ruch — wrzawa! Wielkie okręty przerzynają hałaśliwie fale Zundu, dobiegają do brzegu, wyrzucając z siebie kłęby dymu i tłumy podróżnych. Naokoło nich przesuwają się drobne łódki. Zręcznie krzyżują się w biegu, przebiegając niby ptaki między olbrzymiemi parowcami. Wzburzone fale to podrzucają je w górę, to zsuwają z piętrowych wysokości. Może lada chwila fale ich pochłoną, potrzymają chwilę na swych mętnych grzbietach, poniosą je na brzeg sąsiedniej warowni, gdzie z łoskotem rozbiją się wraz z niemi o brzegi. Smętne okrzyki majtków — hoj! — ho! mieszają się z groźnemi rozkazami kapitanów, rżeniem koni, świstem lokomotyw, napełniając powietrze jakimś dziwnym gwarem...

Lecz oto dzwon uderzył na statku Konga.

To znak odjazdu! Jeszcze jeden dzwonek, mocniejszy świst lokomotywy i jesteśmy w pełnym biegu. Kong, acz drobny i niepozorny, urąga jednak falom. Wiatr mocny zawiał od północy; ale w to graj Kongowi! Fale go porywają, miotają nim w różne strony, on pruje je swobodnie, rozbija i dumny ze swej siły zatacza wspaniałe kręgi wokół drobnych wysepek Zundu.

Na statku pełno osób różnej płci, wieku i narodowości. Dwie godziny przedziela tylko Szwecję od Danji i dwa te kraje komunikują się z sobą, niby dwie odległe ulice dużego miasta. Studenci duńscy i szwedzcy całują się przez morze i biegną na wzajemne uroczystości. Narody umizgają się do siebie, zamieniając między sobą towary i poglądy. Wzorowa unia! Podstawą jej — potrzeba, a podtrzymuje ją wzajemna sympatja. Na ruinach sztucznej, kalmarskiej, zapanowała unia naturalna narodowych uczuć i sympatji.

Komora tylko na granicy przypomina o rozdziale. Jest to coś w rodzaju muru, jaki sentymentalny St. Pierre przeprowadził między chatkami matek Pawła i Wirginji. Ale komora ta istnieje zresztą i na granicy Szwecji z Norwegją. Co prawda mur, — ale cienki i przedzielający gmachy jednej budowli! Komora służy zresztą po części za uosobienie federacji skandynawskich ludów. Te trzy ludy nie chcą rozpłynąć się w jedno. Chcą rozdziału, bo chcą zgody. To paradoks, ale pozorny. W gruncie rzeczy — największa z prawd. Norwegczycy są tak czuli w tym punkcie, że nawet zmuszają króla szwedzkiego, by dwa miesiące w roku przebywał między nimi. Kiedy przyjeżdża na granicę norwegską, opuszczają go Szwedzi, a norwegscy chłopi prowadzą uroczyście do zamku Chrystjanji.

Jeszcze jedna cecha. Po urzędach był dotychczas w Norwegji język duński; dziś wprowadzają doń gwałtem nowe, a raczej przebrzmiałe pierwiastki norwegskie.

— Rozumiem, że chcecie wyzwolenia języka od duńskiego wpływu, ale połączcie się ze Szwedami. Jeżeli was jedność królewskiego rządu zachęca, to podobieństwo waszych dwóch języków pomoże wam zlać się w całość.

— Wolelibyśmy w tym razie nawet duński, odpowiedział mi na to jakiś Norwegczyk. Za językiem poszłaby komora, za komorą — nasze odrębne przywileje — i z Norwegczyków zostalibyśmy Szwedami...

Nie przeraża ich, że półtora miljona ludzi nie zdoła odkarmić oddzielnej literatury. Wydali już Ibsena — tego Szekspira II, jak go nazywa Brandes, mieli Björnsona — północnego Wiktora Hugo. Dania, także drobna, a wydała przecież Kierkegarda, Andersena, Grundtwiga. Szwecja, jeżeli nie wydała, to puszcza teraz w świat jakiegoś Petersena — poprawną edycję Goethego. Tłumaczono mi o nim niedawno jakiś ustęp w «Dagbladet». To człowiek, który popchnie ludzkość na nowe tory i weźmie znów w dzierżawę cały Olimp, wykradnie gromy Zeusowi i rozda je między ludzi, by ich serca ogrzały ciepłem, a głowy użyźniły myślami...

Tak te trzy drobne ludy żyją, rozwijają się, mają pełne kieszenie, a jeszcze pełniejsze głowy. Żywotność ich przypomina mrówki. Wierzą i budzą naokoło wiarę w ich przyszłość!

Ale ukończona rewizja. Pakunki na wózek i sześciu «w aksamitnych kurtkach» tragarzy otacza konie maszerującego wolno ku stacji kolei. Powierzam im spokojnie rzeczy i ruszam na miasto. Ulice równe i szerokie, a czasem gęsto obsadzone drzewami. Miasto leży w najpyszniejszej szwedzkiej prowincji — Skanorze, handel i rolnictwo składają się na jego rozrost. Dziś ma przeszło 30,000 mieszkańców, a za lat 10 będzie miało może 100, bodaj że i więcej — tak mnie przynajmniej zapewnia właściciel hotelu. Kiwam głową z niedowierzaniem. «Tout est posible!» Ta odpowiedź godna Malmö, która całem swem istnieniem ilustruje wartość tego przysłowia. Było ono bowiem kiedyś wielkiem miastem, później — niczem. Ze stolicy zostało drobniuchną wioską, dziś zaś jest znowu trzeciem miastem w Szwecji.

Oto, co mi wpisuje mój przyjaciel Olsen do notatnika podróżnego:

Den Tid, da Christ log sit föde
Stod Lund og Malmö og Gröde.

«Kiedy Chrystus się rodził, już stały trzy miasta: Malmö, Lund i Gröde».

Miasto sławne dzisiaj ze swego kościoła, ślicznego ratusza, a mieszkańcy z chęci stawiania ludziom pomników. Zebrali już w tym celu 40,000 koron. Są jednak kraje, gdzie łatwiej zebrać pieniądze niż ludzi do pomników. Jedyne to nieszczęście, które trapi mieszkańców Malmö.

Municypalność radzi, mieszkańcy radzą, pastorowie się modlą, ale wielkości jak nie ma, tak nie ma.

Są, ale nie dorośli do miary.

Gospodarz przerywa mi zapały, uwiadamiając, że wszystko gotowe do obejrzenia ratusza. Po chwili stanęliśmy przed dziwną budowlą z której poczęli się wysypywać właśnie radcy municypalni. Uśmiech na ustach, twarz okrągła a pulchna, kabłąkowate nogi — zda się, że żywcem uciekli z galerji amsterdamskich burmistrzów. Restauratorowie więc i radcy municypalni są wszędzie jednakowi.

Wchodzimy do ogromnej sali. Kiedyś zasiadali tutaj potężni Knutowie. Świadectwo jednego z nich starczyło za sześciu świadków. Kiedy więc sześciu mówiło prawdę, a jeden Knut skłamał — kłamstwo stawało stę prawdą. Szczęściem, już minęły te czasy! Tuż stoi posąg sprawiedliwości. U stóp jego leży lew z wyszczerzonemi zębami. Widocznie więc sprawiedliwość nie dawała zbyt wielkich powodów do zadowolenia.

Naokoło posągi burmistrzów. Jeden z nich, Jörgen Kock, miłośnym wzrokiem mierzy posąg handlu, drugi znów spogląda na posąg rolnictwa, ale żaden z nich nie patrzy na drugiego. Szkoda! Tu w tej ogromnej sali, niepodpatrywani przez nikogo, parsknęliby sobie pewnie śmiechem w oczy, jak to podobno robili wielcy augurowie przy spotkaniu.

— Urągasz pan umarłym — szepce mi stara, towarzysząca nam dama wraz ze swą cudnie piękną siostrzenicą i w oczach staruszki zajaśniała wzruszająca czułość na widok posągu jednego z burmistrzów, który zamiast tradycyjnych dwóch — miał aż trzy łokcie objętości.

Złośliwy Olsen jednak krzyczy po chwili głośno, że wolałby widzieć galerję żywych piękności niż wątpliwej zasługi acz zmarłych już burmistrzów...

— O! bo brak panom kobiecej czułości — ciągnie niestrudzona dama — wiary w ideały.

— Zginęliśmy! — krzyknął Olsen, machnąwszy rozpaczliwie ręką.

— Pani — rzekłem uroczyście — pomijam siebie, ale obrażasz pani Olsena, najczulszego z ludzi. Kiedyśmy bowiem, temu dni kilka, oglądali w Kopenhadze sławny obraz, przedstawiający «poćwiertowany na cztery części ogórek», a przy nim ów nóż złowieszczy — z którego sok ciecze strumieniami — Olsen płakał jak rozczarowany kochanek.

— Czy serjo? — zdały się pytać oczy starej damy, kiedy skierowała je na mego przyjaciela. Ale Olsen spuścił głowę, jakby wstydząc się swego uczynku. Za to nasza piękna nieznajoma uśmiechnęła się do nas figlarnie i zwracając się do Olsena spytała:

— Wstydzisz się pan tego?

— Jak wszystkiego, co piękne, wzniosłe i szlachetne — mówi znów staruszka, ale już udobruchanym wzrokiem mierząc Olsena.

Odtąd nasza przyjaźń galopuje. Dama zalewa nas całą powodzią zwierzeń. Nazywa się v. Schter..., ma willę w Kanwene, a skarb w swej siostrzenicy. Słucham pilnie rodowodu familiji v. Schter... podczas kiedy szczęśliwy Olsen opowiada pięknej Izabeli zapewne o tematach dzisiejszych kazań we wszystkich kościołach Malmö...

Oprócz bowiem ratusza, ma Malmö aż sześć kościołów, ośmiu pastorów, dziewięć dzienników i jednego wykolejonego z losu.

Temu lat kilka właził on zwykle na dzwonnicę i każdą zmianę godziny okrzykiwał całem gardłem «urbi et orbi». Działo się to przez lat 28. Nagle Karol XV zjeżdża w r. 1872 do Malmö. Denerwujące okrzyki dziada drażnią królewskie uszy. Kazano biedakowi tedy zamilczeć. Nikt potem nie proponował mu, by odnowił swe obowiązki, a Peterson był znów za dumny, by się miał sam przypomnieć. Urwała się tedy nić dziejowa i odtąd osamotniony zegar ponuro dzwoni godziny. Peterson znów od czasu do czasu rzuca nań smutnym wzrokiem. Pokazywano mi go. Biedaczysko, wzorem jednego z krakowskich konserwatystów, pomarszczonemi swemi rękami odgraża się... postępowi wieków.

Czas na pociąg! Jeszcze ostatnie spojrzenie rzucam na Malmö, cudowne okalające go wille, kościelne wieże i ruszamy przez Jönköping do Goteburga.

J. Fin.

Treść Nr. 3. str

Z drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.